# WIEŚ i DWÓR

PAŹDZIERNIK 1912

№ 2



# Do Czytelników

*Wobec stale powtarzającej się mistyfikacji Czytelnika mém nazwiskiem przez pewne osobniki i wynikających ztąd nieporozumień, zmuszony jestem do oświadczenia, że założywszy, ze stojącym na czele spółki ziemiańskiej p. Bolesławem Schoenem* dwutygodnik „Wieś i Dwór” *z dodatkami* „Sport i Hodowla” *z żadnemi innemi „Wsiami” najmniejszego stosunku, nawet towarzyskiego, nie mam.*

*Wszelkie przeto powoływanie się na mnie owych delegatów zbierających wrzekomo dla mnie materjały opisowe i ilustracyjne (jak to miało miejsce na Litwie) jak również wyłudzanie ogłoszeń pod pokrywką „Wsi i Dworu” przez nieupoważnionych do tego agentów, są tylko zwykłem podejściem, zachwianej na uzurpowanem stanowisku, a nie umiejącej nic własną pracą zdobyć, nizkiej konkurencji.*

*Z wysokiem poważaniem*

*Redaktor „Wsi i Dworu”*

*Kazimierz Laskowski (El)*

## MAGAZYN NOWOŚCI W STROJACH DAMSKICH

# KAROLA JAROSZA

## PRZEDTEM ZIMLER i Sp.

### W KRAKOWIE, RYNEK L. 41, LINJA A. B.

Rojno i gwarno rok cały, tak przez mieszkańców jak i przyjezdnych gości jest na linji A. B. w Krakowie; od dawnych czasów ta strona rynku jest ulubionem miejscem spacerów. Krakowski rynek jest najpiękniejszy, linja A. B. opromieniona słońcem ma jeszcze wabika w najwspanialszych magazynach.

Powszechną wśród nich zwraca uwagę magazyn nowości i strojów damskich KAROLA JAROSZA przedtem Zimler i Sp. W danej gałęzi jest to najmodniejszy magazyn Krakowski i szeroko już jest znany nietylko w Krakowie i w Galicji, ale także w Królestwie i na Litwie.

Co utrzymuje na składzie? Odpowiedzą nam na to półki obficie zaopatrzonego magazynu.

Bluzki od skromnych do bardzo wykwintnych, bielizna damska zdobna w koronki i hafty, staniki, żaboty, kołnierze i krawaty damskie. Szale i woale automobilowe. Kapelusze sportowe i strojne specjalność firmy. Pończochy czarne i kolorowe, bawełniane i jedwabne. Tiule, gazy, aplikacje, pasmanterje. Woalki w najrozmaitszych kolorach. Paski gumowe i skórkowe, torebki skórkowe i fantazyjne. Pledy angielskie, rękawiczki, parasolki, szale wieczorowe i przeróżne artykuły mody.

Słowem, wszystko, co może i co powinno wchodzić w zakres tego rodzaju magazynu.

Temu obfitemu zaopatrzeniu towarzyszą wielkie zalety, jakiemi musi się dziś odznaczać interes, który chce zwycięsko współprzewodniczyć. Więc przedewszystkiem jakość towaru.

Pod tym względem należą się magazynowi pana JAROSZA tylko słowa uznania.

Należy on do tych szanujących się i roztropnie prowadzonych magazynów, które trzymają na składzie wyłącznie i jedynie towar dobry. Nie o jednorazowe znęcenie kupującego chodzi mu, lecz o stałą i trwałą klijentelę, wracającą z całem zaufaniem.

Rzecz licha niema tu zgoła wstępu.

Źródło, z których sprowadza się artykuły — są to źródła francuskie i angielskie z uwzględnieniem wyrobów krajowych, najlepszej marki, uznane i pewne, towar stamtąd sprowadzony jest pod względem jakości bez konkurencji, jego trwałość i solidność jest poręczoną samem pochodzeniem.

To pierwsza zaleta.

Druga jest niemniej ważną.

Chodzi bowiem o — smak. Tu w grę wchodzi już nietylko powaga źródła, ale i indywidualność samego kupca. Ażeby módz pokazać klijentowi towar w dobrym guście trzeba samemu gust posiadać.

Rzadko zaś gdzie da się to sprawdzić tak dobitnie, jak właśnie w zakresie nowości dla pań.

Tutaj kupiec nawet z najlepszemi chęciami, a pozbawiony wrodzonego poczucia piękna, nie długo zdoła utrzymać się na powierzchni.

P. KAROL JAROSZ, właściciel magazynu, doborem towaru, jaki prowadzi, składa dowód, iż smak ma wyrobiony w wysokim stopniu, o czem panie, należące do klijenteli sklepu, miały zresztą sposobność przekonać się.

W parze z tem idzie i doświadczenie, zdobyte długoletnią pracą w zawodzie za granicą jak i w kraju na stanowisku kierownika firmy *Marji Praus*, jakie ma za sobą p. KAROL JAROSZ.

Dziś jako samoistny kupiec stara się dostarczyć swej klijenteli towaru trwałego, w dobrym guście i — ***last not least*** — po cenach bardzo przystępnych.

I w tem właśnie okazuje się dobrym kupcem.

Dać dobrze, a przecież nie drogo, jest to w handlu sztuką wprawdzie nie do zbytku często praktykowaną, lecz zawsze dobrze wypłacającą się — na dalszą metę.

Wśród pań Krakowskich i przejezdnych utrwala się coraz bardziej dobra sława magazynu, który ma ambicję prowadzić jedynie towar przedniej jakości, a jednak czyni go dostępnym wskutek cen możliwie niskich.

Sumienność, uprzejmość i cierpliwość, z jakiemi się do wszystkich sfer kupujących odnosi personel sklepowy grają tu także nie ostatnią rolę.

Jako doświadczony praktyk wie p. KAROL JAROSZ, jak niezbędnym czynnikiem powodzenia w handlu jest wzorowa obsługa, a jako człowiek z natury uprzejmy podwójnie tego u siebie przestrzega.

Zawsze cieszymy się gdy widzimy w Krakowie nową polską firmę, a w tym wypadku tem bardziej, że p. JAROSZ w zupełności na zaufanie publiczności zasługuje i życzymy mu powodzenia w pracy.

LESZ.

ROK I. WARSZAWA, DNIA 15 PAŹDZIERNIKA 1912 ROKU. ZESZYT II.


# WIEŚ I DWÓR

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY




„Lecą liście...“ (fot. am. p. Wł. Szczawińskiego).

## Wołacie: szlachta...!

Co wy też dacie? wy z dzisiejszej doby!
Co? aby przyszłość mogła czcić i kochać?
Wy! co na stare narzekacie groby,
Co się dziwicie, że ktoś może szlochać
Latosiem echem, a być z pokolenia
Was — bohaterów żółci i zwątpienia!

Wołacie: szlachta! i bryzgacie jadem...
Wołacie: szlachta! i liczycie winy...
Na obrachunek z dziadem i naddziadem,
Co się już w mogił rozsypali gliny,
Mając — jedyne swoje bohaterstwo,
Na wszystko nasze... ślinę i szyderstwo!

Wołacie: szlachta!.. Prawda! kto bez grzechu?
Ale ten szlachcic umiał w dniach pokuty
Do ostatniego skruszyć się oddechu
I iść z narodem i trwać przez czas luty!
Ale ten szlachcic palił dłonie lontem
I w ogniu miewał gołą pierś... przed frontem!

Ale ten szlachcic gdy było potrzeba,
Gdy mu dzwoniła pieśń Bogarodzicy,
Od ust odjęty dawał okruch chleba,
Ostatnią łyżkę przetapiał w mennicy!
Ale ten szlachcic na takie wołanie
Pełnił szlacheckie winne przykazanie!

Wołacie: szlachta i... lud! I... straszycie?
A kto zacz dla was ów chłop mazowiecki,
Lub kmieć krakowski na Wawelskim szczycie?
On więcej polski i więcej szlachecki,
Niż wy dzisiejsi — choć za pługiem chodził!
On duszą szlachcic jest, bo szlachtę rodził!

Straszycie ludem! Groźba płonna, pusta...
Ten lud szlachecki i takim zostanie...
I jeśli kiedy weźmie w dech i usta
To tylko własne, odwieczne kochanie
Swoje! idące od tej samej ścieżki,
Na której bywał!... Swoje... bez przymieszki!

El.

# ZŁOTE GODY

Nestor starożytnego w Wielkopolsce rodu Chłapowskich, Kazimierz z linji Kopaszewskiej, obchodził w ubiegłym miesiącu złoty jubileusz małżeński z Anną, latoroślą tegoż nazwiska z linji Czerwonowiejskiej. Uroczystość ta wyszła daleko po za ramy obchodu familijnego; z wszystkich stron i wszystkich sfer towarzystwa spieszono z życzeniami i korzystano ze sposobności, aby złożyć hołd i uznanie zasłużonemu obywatelowi kraju i czcigodnej jego małżonce.

Znana jest bowiem w Poznańskiem sędziwa, choć krzepka postać Kazimierza Chłapowskiego. Znaną z pracy, poświęcenia, uczynności, prawego charakteru, gorącej miłości ojczyzny i głębokiego przywiązania do wiary ojców. Nie było zebrania, narady, wiecu, w którymby jubilat nie brał udziału i, obdarzony zaufaniem ziomków, nie przewodniczył. Zdania jego słuchano w skupieniu i z powagą; mogła była istnieć różnica poglądów, niebyło wątpliwości, że to, co mówi, płynie z głębi serca, szczerego przekonania i wielkiego umiłowania świętej sprawy.

Jako poseł, spełniał w Berlinie swój twardy obowiązek, służąc przykładem sumienności i punktualności; jako Polak, spieszył na każde zawołanie, gotów zawsze do ofiar i usług; jako katolik, rycerz N. P. Maryi, wiernie trwał przy sztandarze Kościoła,



Kopaszewo w W. Ks. Poznańskiem rezydencja pp. Kaźmierzowstwa Chłapowskich.

łącząc w swej osobie w harmonijną całość żywe uczucie narodowości z żarem religijnym; jako ziemianin, był wytrwałym stróżem ziemi ojców, jako obywatel, przykładem dzieciom i młodszej braci, oraz serdecznym opiekunem ludu polskiego. Gdy więc tradycyjne obowiązki prawdziwego szlachcica polskiego wypełniał z tą samą ochotą i gotowością, z jaką chocimscy i napoleońscy rycerze nieśli swe życie i mienie na ołtarz ojczysty, czy dziwić się, że

znaczenie domu kopaszewskiego dla kraju, jako ostoi myśli prawej i zacnego czynu. Obraz owocnej pracy Kazimierzostwa Chłapowskich dla społeczeństwa, hartu ich duszy na dolę i niedolę żywota, wpływa na duchowy rozwój wielkopolskiego pokolenia, oraz spełniania obowiązku społecznego i katolickiego— skreślił w pięknym toaście dr. Tadeusz Jackowski, prezes Centr. Tow. Gospodarczego. Z całego szeregu dalszych mówców wymienić wypada jeszcze



Jubilaci: Anna i Kazimierz Chłapowscy z Kopaszewa.

w złotych godach jego, choć nie ciałem, to duchem brali udział wszyscy, którym przeszłość jest nauką, teraźniejszość trudem i walką, a przyszłość nadzieją?

Ceremonia kościelna odbyła się w ścisłem kole rodzinnem w Kopaszewie, w uroczyście przybranej świątyni, na wiejskim łanie, w otoczeniu ludu.

W szerszem zebraniu, w Bazarze poznańskim, winszowano następnie czcigodnej parze jubilatów, podczas uczty, do której zasiedli przedstawiciele duchowieństwa, ziemiaństwa i inteligencji. Pierwszy przemówił ks. biskup dr. Likowski, podnosząc

Kazimierza Morawskiego, członka austryjackiej izby panów.

Głęboka cisza zaległa salę, gdy pod koniec podniósł się wzruszony jubilat i, spojrzawszy wstecz na bieg swego pracowitego żywota, myślą pobiegł naprzód, zwiastując lepszą przyszłość i składając ją w darze młodemu pokoleniu.

Zaiste, trudno o piękniejszą księgę żywota, o podnioślejszy przykład półwiekowego małżeństwa, o pogodniejszą jesień polską po znojnej, chwalebnej pracy wiosny i lata.

POZNAŃCZYK





Piotrowicze
p. A. Dziekońskiego
w Kabryńskiem.



Derewiańczyce wł. p. Józefa Ordy w Słonimskiem.

Mogilnica. (fot. am. p. K. Dziekońskiego).

# O STYL NASZYCH DWORÓW.

Jeśli było w życiu naszem narodowem cośkolwiek bezwzględnie odrębnego i swoistego, to był to przedewszystkiem dwór polski i cała obyczajowość nierozdzielnie z nim połączona.

Wielkie pałace magnackie były murowane i stawiali je najczęściej architekci niemieccy, włoscy i francuscy. Dwory polskie były drewniane i stawiał je domorosły cieśla, który był także artystą, nieznanym najczęściej, więcej jednak samodzielnym, nieraz oryginalnym. Siedziby panów polskich były potrzebą zbytku, dumy, a często i prawdziwego poczucia sztuki, lecz że w Polsce sztuki w istotnym tego słowa znaczeniu nie było, musiano opierać się z konieczności na wzorach zupełnie obcych. W wieku XVIII-ym zwłaszcza, kiedy zapanował na całym świecie wszechwładny w najrozmaitszych swoich odmianach barok, kiedy la France galante narzuciła wszystkim język, strój, architekturę i obyczajowość, nie było już zda się nic takiego, coby zewnętrznie świadczyć mogło o jakiejś odrębności narodowej. Awanturnik francuski, który przybywał do Warszawy ówczesnej, czuł się tu, jak u siebie w domu, a często nawet i lepiej. Oglądając Warszawę na sztychach współczesnych i obrazach, widzimy ją piękną i wspaniałą, niemniej jednak nadspodziewanie obcą, a czasami niezrozumiałą.

Nie trzeba nad tem ubolewać, bo fakt ten był koniecznym i naturalnym, a nawet przyczynił się w wysokim stopniu do zewnętrznej estetyki miasta.

Jeśli jednak Warszawa była wówczas francuską, to wieś była polską, zarówno w architekturze, jak i w swej obyczajowości całej. Jest to faktem stwierdzonym historycznie i naukowo, o czem kilkakrotnie wspomina Łoziński w „Życiu dawnej Polski“, że cudzoziemców zdumiewało i zastanawiało zawsze drewniane budownictwo polskie.

I nie było w tem nic dziwnego.

W najwspanialszych pałacach, kościołach i zamkach polskich, budowanych według stylów znanych w Europie, znaleźć można było co najwyżej drugorzędne cechy odrębności i niezwykłości. Ale budownictwo drewniane, które tak długo utrzymało się u nas, naprzekór przysłowiu o Kazimierzu Wielkim, jako oparte na bezpośrednich potrzebach życia przeciętnego obywatela, musiało posiadać nietylko odrębne cechy stylu, ale poprostu całkowity styl własny, niezapożyczony znikąd, harmonijny w swojej prostocie, skończony w wyrazie zewnętrznym.

A przecież w budownictwie drewnianem pierwsze miejsce zajmował dwór sam. Mamy przeto prawo mówić o stylu dworu polskiego, może nawet większe, niż mówić o stylu ceglano-baltyckim, czy też nadwiślańskim gotyku, albo polskim renesansie.

I nie jeden, kto dziś jeszcze ujrzy stary dwór polski, woła mimowolnie zdziwiony:

— Tego w Europie naprawdę nigdzie nie widziałem...

Niestety, jednak coraz mniej jest do oglądania!

Ileż to razy, przejeżdżając przez okolice nasze, widzi się na miejscu szacownych zabytków jakieś budowle, pozbawione wszelkiego sensu—jakieś pretensyonalne wille szwajcarskie, jakieś mizerne pałacyki, bliżej określonego pozbawione charakteru, albo istne koszarowe okazy, doprowadzające do rozpaczy swoim kształtem ohydnym. Ich właściciele poświęcają częstokroć wiele uwagi i pieniędzy na komfort i wygody wewnętrzne. Te nowe domy posiadają niejednokrotnie łazienki, wodociągi... ba, nawet telefony i oświetlenie elektryczne — jakże rzadko jednak mówią o potrzebach estetycznych, na tradycyi narodowej opartych.

A przecież stary dwór polski nie jest jeszcze rzadkością! Jeszcze w najbliższem sąsiedztwie tych intruzów nowoczesnych stoi, niejednokrotnie szacunkiem i wspomnieniami otoczony, tak dziwnie piękny swą starością melancholijną. I jeszcze żywe są jego tradycye, jego obyczaje, jeszcze przetrwało wiele jego cnót i jego dziwactw, tak bardzo pociągających.

Dlaczegóż tedy wyrzekamy go się tak łatwo i nie próbujemy wskrzesić na nowo tego, co można bez żadnych trudności przystosować do życia współczesnego, a co jest naprawdę nasze, naprawdę odrębne i piękne.

W całej architekturze współczesnej, w całej sztuce stosowanej, po okresie bezradności i anarchii estetycznej, przejawia się zasadniczy zwrot do przeszłości. Skoro wszelkie usiłowania do stworzenia nowego stylu wydały dotychczas bardzo nikłe rezultaty, trzeba było powrócić do tego, co ludzkość już zdobyła.

Jest to faktem powszechnie wiadomym i łatwym do sprawdzenia, chociażby na ulicach Warszawy, że zaczynamy znowu mieszkać w domach empirowych, albo biedermajerowskich, siadać na meblach biedermajerowskich, albo empirowych, albo gdańskich, że zaczynamy używać coraz częściej przedmiotów, które służąc do najbardziej nowoczesnego użytku, mają wygląd czasami nawet średniowieczny.

I oto można powiedzieć, że ludzkość w ocze-











Siedlce w Jędrzejowskiem, wł. p. A. Zapalskiej.
Walewice w Łęczyckiem, wł. p. Grabińskiego.

Kaplica w Wierdomiczach,
dobrach p. J. Tołłoczki w Grodzieńskiem.

Janowice nad Dunajcem w Galicyi.
Kąty w Kutnowskiem, wł. p. Przyłubskiego.



Wieżajcie w Kowieńskiem wł. hr. de Polenta Wolmera.

Pałac. Fragment z parku. Kaplica. Grobowiec w parku.

kiwaniu nowej formy, powraca do dawnych, aby poprostu zadowolić wrodzone sobie potrzeby estetyczne, które przecież czekać nie mogą, skoro istnieją.

Dlaczego więc nie mielibyśmy także czekać w starym domu polskim, otoczeni wspomnieniem czcigodnych pamiątek, na ten nowy dom polski, który przyjdzie niechybnie kiedyś?

Cóż nam przeszkadza budować dwory, oparte na architekturze dawnej, pięknej, wymownej i oryginalnej?

Jednym brak smaku, drugim podobno — brak środków finansowych.

Jednym słowem pieniądze! — rozpatrzmyż bliżej tę sprawę, która nietylko jest materyalną.

Pewien obywatel, który bardzo niedawno po spaleniu się starego modrzewiowego dworu, wybudował dom przedziwnie odrażający, zapytał mnie pewnego razu:

— Jakże się panu podoba mój dwór nowy?

— Ani trochę — odpowiedziałem z całą szczerością — jest brzydki, poza tem obcy i niesympatyczny. Domyślam się, że go postawił jakiś prowincyonalny dyletant, człowiek pozbawiony nietylko wszelkiego smaku, ale nawet prawa przepisami określonego.

— Zgadł pan najzupełniej, ale cóż ja miałem innego uczynić?

— Postawić dom ładny i stylowy...

Te słowa wywołały ironiczny uśmiech na twarzy znajomego mi obywatela. Skrzywił się potem cierpko i rzekł, rozkładając ręce:

— Mój panie, czy pan wie o tem, co styl kosztuje? Czy pan wie o tem, co to znaczy dom postawić?

Spojrzał na mnie z żalem wyraźnym i zapytał stanowczo:

— Czy pan chce, żebym ja przez pański styl z majątku wyjechał, do dyabła?

— Nie myślę o tem ani trochę, szkoda by było tak dobrego gospodarza i dzielnego obywatela. Pozwoli mi pan jednak zadać sobie jedno pytanie!

— Słucham!

— Co pan myśli o Warszawie, skoro pan wraca z niej po kilkudniowym pobycie?

— Do licha! — huknął mój znajomy — myślę, że to jest coraz bardziej obce miasto. Ludzie inni, jak dawniej i wszystko inne.

— Drogi panie — odparłem powoli, a dobitnie — jeśli będziecie stawiać więcej domów, podobnych do pańskiego dworu, to my, ludzie z miasta, zaczniemy myśleć to samo o wsi.

Spojrzał na mnie zdziwiony i odparł:

— Człowiek co innego, a dom co innego.

— Człowiek dom buduje. A skoro pan należy do tych, którzy namawiają chłopa, aby nie zrzucał swego stroju, dlaczego pan wyzbywa się swoich zwyczajów i tradycyi? Skoro pana razi dreliszkowa tandeta i czapka z ceratowym daszkiem, to jakżeż może pan mieszkać w swoim własnym domu?

— A bo mnie nie stać na pańskie fanaberye!— wybuchnął po raz drugi. — Mieszkam, bo muszę. Żebym miał na to, pokazałbym i ja, co to jest styl...

— Ależ pan ma na to, zaręczam.

— Co tam pan opowiada!—mruknął niechętnie i machnął ręką na znak, że dyskusyę uważa za skończoną.

Tyle mój znajomy.. Na tem jednak dyskusyi się nie kończy.

Jeszcze jeden mój znajomy, z którym rozmawiałem o tej samej sprawie, podniósł okoliczność wielce zastanawiającą.

— Trzeba pamiętać o tem, — mówił on — że współczesne pokolenie wiejskie jest niejako tym człowiekiem ciężkiej pracy, który wśród znoju i trudu zdobył sobie byt niezależny, ekonomiczną podstawę do życia. I dlatego sądzę, że od pokolenia tego nie można wymagać za wiele, ono dokonało i tak więcej, niżby się można było spodziewać. Potrzeby estetyczne są własnością społeczeństw i ludzi, żyjących w dobrobycie. Ten dobrobyt zdobyliśmy nie tak dawno, trzeba czekać cierpliwie na jego dalsze wyniki. Sądzę, że potrzeby estetyczne na wsi wzrastają coraz bardziej i napewno idee, o których pan mówi, będą mogły urzeczywistnić się niebawem.

Być może, iż drugi mój znajomy najbliższy był prawdy. Mam nadzieję, że w sprawie tak ważnej odezwą się na tych samych łamach głosy tych, którym ona leży na sercu. Ja chciałbym jeszcze jedno sprostować:

Doprawdy, styl dworu wiejskiego nie jest tak bardzo drogi, jakby się to mogło wydawać. Trzeba go tylko szukać naprawdę i pragnąć go, a wtedy znajdzie się bez wielkich trudów nawet i bez wielkich kosztów...

Z. K.



Stary spichlerz w Mikułowicach, dobrach p. B. Czarnickiego w Sandomierskiem.



Ś. p. Juljan Wieniawski.

# Cieniom mojego dziadka, ś. p. Juljana Wieniawskiego.

... A kiedyś ziemskie opuścił padoły
i ku niebiosom odszedł uśmiechnięty,
na Twojej drodze srebrzyste anioły
klękały, myśląc, że to jaki święty
w niebo wstępuje... Takie z Twej mogiły
pełne boskiego światła blaski biły...

Ludzie dzisiejsi w nieszczęściach kark chylą
i beznadziejnie załamują ręce,
lub jako dzieci łzy leją i kwilą
i umierają w zwątpieniu i męce,
lub jako błędne meteory nocy
płoną natchnieniem nim zgasną w bezmocy.

Jakżeś odmiennym był od tego świata,
co żyje w wiecznym fałszu i obłudzie...
W każdym człowieku miłowałeś brata...
Dni ci mijały w nieustannym trudzie...
Niosłeś ojczyźnie kochanej w ofierze
zdrowie i pracę — mężny bohaterze!

A chociaż w życiu nie po wonnych różach,
jeno po cierniach wiodły Cię Twe szlaki,
i w utrapieniach i w walkach i w burzach
i w klęskach srogich — zawsześ był jednaki...
Choć w skroń Twą gromy po gromach waliły
zostałeś pełen pogody i siły...

Duchu świetlany! o, jeśliśmy godni,
daj, byśmy w jasne wpatrzeni niebiosy
jak Ty, po drodze życia szli pogodni,
choćby nas srogo doświadczały losy...
Daj nam słoneczność ducha i pogodę,
abyśmy serca mieli młode...

A w chwilach smutku i w chwilach zwątpienia,
gdy się nam w oczach łza żałosna kręci,
niechaj nas Twoja jasność opromienia,
jako Ty, bądźmy wiecznie uśmiechnięci
i pełni wiary, że po dniach jesieni
świat z nową wiosną znów się zazieleni...

Znów chór ptaszęcy w gęstwinach zadźwięczy,
niebo znów barwę przybierze błękitną,
pośród obłoków zalśni pasmo tęczy,
kwiaty na łąkach zielonych zakwitną
i cudny miesiąc maj znowu zagości
nad ziemią pełną szczęścia i radości...

JULJAN EJSMOND.

# Z Jordanem w Krakowie.

Spotkałem się z Jordanem w zaułku krakowskim, między kościołem św. Barbary, a Maryackim, skąd widać, wychyliwszy się nieco, Sukiennice, pomnik Mickiewicza i resztę panoramy Wielkiego Rynku.

Jordan stał oparty o słupek kamienny, między łańcuchami, opasującemi świątynię, wpatrzony w tablicę, osadzoną nad drzwiami starego domu, i odczytywał napis mocno zatarty. Tablica była jedną z pamiątek, jakiemi miasta polskie się szczycą, a Kraków przed innemi.

Jordan obrał sobie punkt obserwacyjny bardzo wygodny i malowniczy, o tej godzinie wczesnej wolny od przechodniów, którzy tym zaułkiem, jako drogą skróconą, dążą z rynku Małego na Wielki. Nie było jeszcze Królewiaków, którzy wracając z wód galicyjskich do domów, zwiedzają wszystkie osobliwości stolicy Jagiellońskiej.

Gościem zakordonowym był także Jordan, ale dla niego zaułek to stary znajomy; znał go oddawna, czcił jego sędziwość, umiałby wskazać artyście, jaki szczegół ze starych murów przenieść na płótno, lub powtórzyć w rzeźbie.



Dwór w Chlewni pod Grodziskiem. Dziedzictwo Wieniawskich.

Jak kupiec wybiera co najprzedniejsze towary do swoich magazynów, tak Jordan wybierał dla swego serca co przedniejsze pamiątki, aby niemi pocieszać się, gdy już przekroczy granicę.

Znał każdy dom, do którego przylgnęła jakaś legenda, oburzał się na przechodnia, depcącego tablicę, wmurowaną w bruk Wielkiego rynku, na którym Naczelnik składał przysięgę narodowi. Oburzał się, pisał o tem do miejscowych gazet, wystosował nawet odezwę do prześwietnego magistratu krakowskiego, wzywając go, aby kamień Kościuszkowski ogrodził i przez to zabezpieczył go od profanacyi.

Odezwę napisał, ale jej nie posłał, zastanowiwszy się, że zapewne magistrat, złożony z przedniejszych obywateli miasta, wie lepiej od niego, dlaczego tak czcigodnej pamiątce czyni się krzywda. Ustąpił, zamilkł, nie cierpiąc wszelkich publicznych sporów, ale sam odprawiał pielgrzymkę do kamienia Kościuszkowskiego i zapisywał ją w swych wrażeniach, razem z dźwiękami hejnałowemi, które płyną dniem i nocą z wieży Maryackiej, po przez rynki, ulice, błonia... aż po granicę, aby je przewieźć dalej, jak kontrabandę.

Jordan tak był pogrążony w myślach, że nie spostrzegł mnie, chociaż stałem o kilka kroków od niego.

Zwrócił się do gołębi, które sfrunąwszy z wieżyc Maryackich, rozsiadły się po gzemsach i zrębach przyziemnych i zbierały ziarnka, naniesione przez powietrze ze straganów przekupek i wozów wiejskich, naładowanych workami różnego zboża i snopami złocistej słomy.

Pociągnięty widokiem ulubionych ptaków, co mu gołębnik we własnej wsi przypominały, z uśmiechem, niby witając dobrych znajomych, zbliżył się do nich, chciał pogłaskać skrzydełka, furczące dokoła krzyża z Chrystusem, wpatrywał się w dzióbki, chwytające ziarnka, w ślepki, pytające: czemu obywatelu nie nasypiesz ziarna więcej i pozwalasz nam tak ciężko pracować na skąpy posiłek?

Gołębie nie uciekały, jakby poznały rolnika i wiedziały, że ręką swoją chętnie on rzuca ziarno z pełnego śpichrza, chętniej, niż chwyta za pióro, aby zrobić bilans bankowy, lub napisać ucieszną, a zawsze uczciwą powiastkę.

Patrzyłem z zajęciem na tę sielską scenę, a zdawało mi się, że zajmowała ona i Jordana więcej, niż osobliwości architektoniczne.

— Dyrektorowi! — zawołałem, zachodząc mu z boku, a tak znienacka, że aż drgnął, a gdym dodał—zdaje się dyrektorowi, że jesteś u siebie, w Chlewni, a ten inwentarz skrzydlaty twojego chowu...

Jordan chwycił mię w objęcia i dokończył:

— Masz racyę — te maleństwa zajęły mię więcej, niż weneckie galanty, co się wałęsają po placu św. Marka i są za pan-brat z byle kim, nawet z niedowiarkiem i oszustem, byle mu dał ziarnko grochu. Zdaje mi się, że nasze gołąbki są wybredniejsze w wyborze towarzystwa—spróbuj zbliżyć się do nich: nie rozstrzelą się i z twej ręki jeść będą, niby źrebięta lub kurki czubate.

Jakby na potwierdzenie opinii Jordana o gołębiach krakowskich i ich wybredności, wtargnęła do zaułka gromada żydziaków z wrzaskiem im właściwym. Gromada gnała jakiegoś złodziejasza jarmarcznego. Uciekał on z wiązką zieleniny, ściągniętą z wozu, którego właściciel zabawiał się w sąsiednim szyneczku.

Gromada nie stawała w obronie wieśniaka okradzionego, lecz przez zazdrość, że wiązanka zieleniny im się nie dostała; chcieli podziału, ale złodziejaszek tak szybko zmykał, że się ani wrzaskiem, ani kułakami nie dał powstrzymać. Znając wszystkie przesmyki między ulicami lepiej niż inni, zręcznie się wymykał; równocześnie uciekły gołębie, wzbiły się w powietrze, po nad wieże, gardząc towarzystwem wrzaskliwego motłochu. Ucieczka gołębi ucieszyła Jordana, wysłał za niemi swój wzrok, wówczas jeszcze bystry, i śmiech serdeczny, co się wyrywał z pod ciemnych, z szlachecką buńczucznością podkręconych wąsów. Żegnał je do przyszłego roku, bo w tym już mu się spieszyło do domu, do obowiązków, które uważał za przykazania prawie święte.

Służbę swą pełnił dla społeczeństwa z taką pilnością, jakgdyby był żołnierzem, zarazem rolnikiem, rachmistrzem i pisarzem na pocieszenie smutnych.

— To moja stacya ostatnia, jutro muszę być w domu, przy biurku i pługu. Choć mi żal odjeżdżać. Zobaczymy się znowu w roku przyszłym. — Mówił do gołębi, nie przeczuwając, że w lat kilkanaście po tem naszem spotkaniu już nie zobaczy nic z tego, co człowiekowi czyni życie lżejszem, nie zobaczy ani słońca, ani kwiatów, ani kłosów — tylko śnić o nich będzie w swojej ślepocie.

— Odwiedziłem już wszystkie ulice — mówił dalej głosem coraz słabszym — byłem w muzeach, w kościołach, planty — nie śmiej się — obleciałem dwa razy dookoła, ucałowałem progi wawelskie... i czuję, że się wzmocniłem na cały rok, jeśli moja wieś nie potrafi naprawić mi serca, które się nad potrzebę rozpiera.

I Jordan wziął mię za rękę, przyłożył ją do swej piersi, a ja poczułem pod swoją dłonią serce, co się wznosiło i opadało tak szybko, jakby było pod wpływem wulkanu, którego niszcząca moc nadeszła.

Pocieszałem go, wmawiałem przesadę, ale nie mogłem zapierać, że jest pod wpływem silnych wrażeń, nad któremi powinien zapanować.

Usiłowanie moje przerwał:

— Choćbym miał jeszcze więcej cierpieć, nie wyrzekłbym się Krakowa.

Potem wynurzał mi się, dla czego gród Jagielloński jest mu tak drogi...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ani jednem słowem nie pożalił się, że Kraków prawie nie znał Jordana, o jego pracach społecznych nie słyszał, w literaturze z nim się nie spotykał.

Wiedział, że winą tego była granica, która podzieliła kraj nasz na kilka części, podobnych do siebie językiem, ale różniących się obyczajem, wymogami społecznemi, kulturą umysłową, której narzuciły się wpływy państwowe.

Jordan i w Królestwie był autorem tajemniczym; jeszcze nikt się nie domyślał, że autor „Wędrówek delegata“ to był pierwszorzędny działacz społeczny, ekonomista, zwołujący grosz polski do spólnej pracy, marymonczyk, którego nazwisko godne jest miejsca w historyi naszego rolnictwa obok ziemian, którzy pierwsi chcieli dla ludu naszego oświaty i dali mu ją, o ile dać mogli.

Nie wiedziano, że Jordan, to Juljan Wieniawski, dyrektor Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, pierwszej instytucyi polskiej finansowej, która nie jeden kawał ziemi ocaliła przed lichwą, subhastą, wydarła z drapieżnych rąk żydów i niemców, którzy, niby żarłoczne wilki, na obdłużone dziedzictwa polskie czyhali.

Jordan nie hełpił się swą zasługą, ani talentem. Umiłował spokój i żył w nim, szukając wypoczynku w pracy literackiej, lub gospodarstwie wiejskiem.

Trzeba było wielkiego zaufania, aby Jordana wyciągnąć na słówko. Opowiadał bez przechwałki, jak bez przechwałek spisał swój pamiętnik; był w nim szczerym, a skromnym, unikał oceny swoich czynów, między któremi były i bohaterskie. Kładł głowę pod Ewangelię, bo mu ją położyć kazano w imię miłości kraju; a potem przyłożył sobie do skroni lufę pistoletu i czekał na ostatnią chwilę, aby przez odebranie sobie życia ocalić życie towarzyszy, których szukano.

Opowiada w pamiętniku swą ucieczkę za granicę, o pomocy dawanej mu przez sąsiadów bliższych i dalszych, znajomych i obcych zupełnie, ale posłusznych ówczesnej władzy narodowej, chociaż przeciwnych zbrojnej konspiracyi, dbających tylko o to, aby uratować zapaleńców, wierzących ślepo w swoje powodzenie.

A z jaką pogodą wspomina o pobycie swoim za granicą, mimo tęsknoty za krajem, za rodziną, za pracą na roli.

Wówczas, kiedy setki emigrantów, zasilanych finansowo przez rodzinę i przyjaciół, wegetowało w próżniaczej rozpaczy na bruku paryskiem, Jordan jął się pracy natychmiast, zaczął się uczyć ekonomii i finansowości, a czynił to w tej myśli, aby wróciwszy do kraju, znowu mu służyć.

Zwierzeń pamiętnikowych Jordana słucha się, jak spowiedzi: nie deklamując na temat bohaterstwa, nie powiewa sztandarem bojowym, nie złorzeczy

tym, którzy tylko krwią chcieli odkupić swą oblubienicę...

W pamiętniku nie napisał o tem, że nigdy nie zapomniał swoich dawnych kolegów, którzy pomocy potrzebowali; nie zapomniał swych nauczycieli i stał u ich łoża, pilnując, aby schorowanemu starcowi niczego nie brakowało. Tak się opiekował Jastrzębowskim, przyjacielem marymonckiej młodzieży, tym ukochanym mistrzem, który uczył, jak w pracy wyczekiwać pogody, chociaż chmury na niebie. zachowałem, dlatego ich tu witam, bo w Warszawie nie mogę. Pozwól im siedzieć chociaż tutaj spokojnie; cóż ci to szkodzi, że zamknięci w murach klasztornych, modlą się za żywych i umarłych i pilnują nagrobków rycerzy, biskupów i innych dostojników Rzeczypospolitej, wykutych w marmurze. Nie wypędzaj ich z zacisza, w którem im dobrze, lepiej, niż nam na szerokim świecie, nie lituj się nad nimi, jak nad niewolnikami, bo oni wolniejsi i bogatsi od nas, chociaż bosi i w habicie.



Przy ognisku. (Z teki p. Czesława Baczyńskiego).

Jordan przeglądał wystawy księgarskie, ale nie znalazłszy w nich swojej książki, nie wstępował do sklepu, aby zapytać, ile sprzedano egzemplarzy najnowszego jego utworu. Był zajęty tylko Krakowem. Przy spotkaniu sędziwych zakonników odkrywał głowę, a na krytykę jakiegoś młodego Królewiaka, który zakonników uważał za ludzi bezużytecznych, odpowiedział:

— Spotykam ich z radością, bo ich znam z młodości i nie jedno dobre wspomnienie o nich

Powoli zaczął się uspakajać, serce przestało mu dokuczać, a doszedłszy do kościoła św. Piotra, przystanął i zapytał:

— Może wstąpisz ze mną? Tu także moja stacya, której nigdy nie omijam.

Należałem do tych wędrowców, którzy podziwiając kaznodzieję królewskiego, ks. Piotra Skargę, nie zawsze odwiedzają grób jego, przy powrocie z wakacyi do domu, chociaż innym grobom i pamiątkom oddają pokłon czołobitny.

Znamy prawie wszyscy kazania sejmowe Skargi, dużo o ich sile oratorskiej słyszełiśmy, znamy jego postać ascetyczną, bo nam ją Matejko przedstawił przed oczy, ale nie skorzy jesteśmy korzystać z jego nauki, nie rozumiemy jego natchnionych upomnień, omijamy grób jego, nawet nie pytamy, w którym kościele mamy go szukać.

To nasz grzech ogólny: przechodzimy obojętnie koło kościoła św. Piotra, a nic nas nie pociąga do wnętrza świątyni, w której wyrywa się z pod kamienia grobowego głos proroka, co ojczyznę budził do czuwania.

Weszliśmy do kościoła.

Nikogo w nim oprócz nas nie było, tylko stary zakrystjan dawał znak brzękiem kluczy, że jest na nasze usługi.

I zaczął nas wodzić od ołtarza do ołtarza i objaśniać malowidła, kosztowniejsze wota, pomniki, nawet dywany... Lecz pomnik ks. Skargi zostawił sobie na sam koniec. Nie domyślał się biedak, jakiego skarbu jest stróżem, więc nie był lepszy od przelotnych wędrowców.

Chcąc się go pozbyć, dałem mu kilkanaście centów, a on, przerachowawszy szczupłą ofiarę, mruknął:

— Za tyle gadania... pokazałem najprzedniejsze obrazy i wytłómaczyłem, co każdy znaczy... Już muszę zamknąć kościół... czas dzwonić na południe... Może panowie chcą zabawić dłużej, to mogę wrócić i pokazać jeszcze ciekawe organy i chorągwie.

O Skardze ani wspomniał!

Prosiłem, aby po przedzwonieniu południa powrócił, a będzie za fatygę lepiej wynagrodzony.

Obrzuciwszy nas okiem badawczym, odszedł powoli ku sygnaturce; oglądał się po za siebie, ciekawy, ku której stronie zwrócimy swoje kroki.

Wówczas oddaliśmy się swobodniej myśli, która nas do tej świątyni przywiodła.

Uroczystej ciszy nic nie mąciło, a promienie słoneczne, co z kopuły padały na podłogę, ozłociły także nagrobek Skargi i jego twarz w medalionie.

Ulegliśmy odrazu wrażeniu, które na nas z grobu powiało, a gdy sygnaturka odezwała się, zgięliśmy kolana, głowy pochyliły się i usta odmawiały szeptem Anioł Pański.

Ciszy nie przerywaliśmy żadnem pytaniem, żadnem wyjaśnieniem, lękaliśmy się słów własnych, czując się pod wpływem wybranego sługi Bożego, który słowem i przykładem pomagał grzesznemu narodowi, do zbawienia przez miłość i mądrość, przez pracę i pokutę, pomagał umartwieniem swego ducha, chociaż wiedział, że w tem umartwieniu życie mu się skraca, zdrowie mu niszczeje.

W milczeniu proroka pożegnaliśmy, a zakrystjan, który znowu zaczął dawać o sobie znać brzękiem kluczy, był zdziwiony, żeśmy z klęczek wstawali, chociaż tej czci nie okazywaliśmy innym przedmiotom, które on uważał za cenniejsze od nagrobka Skargi.

Dopiero gdy zobaczył na swej dłoni dwie korony, zrozumiał, że Skarga był czemś większym, niż zwykłym kaznodzieją i kanonikiem; ale przecież nie świętym żadnym, a myśmy się jak do świętego modlili o cud jakiś...

Wziął nas za hojnych wędrowców, którzy mają czem nagradzać drobne przysługi. Takiego datku jeszcze od nikogo nie otrzymał; goście, którzy bywali tu przed nami, dawali mu po kilkanaście centów za „wszystko“, ale nikt nie obdarzył go za jednego Skargę aż koronami.

Odtąd zakrystjan stary w cudotwórność Skargi zapewne uwierzył i nagrobek jego zaczął staranniej okurzać.

I dla nas Skarga był łaskawy: wskazał nam drogę do wygasłych ognisk nędzarzy i sierot porzuconych, do kalek, stoczonych chorobą, zezwierzęconych przez grzech ohydny... wskazał sercom naszym drogę tą ręką, co się już od wieków w proch rozsypała.

Ta sama ręka prowadzi braci Alberta, którzy rozproszeni po kraju czynią miłosierdzie najuboższym, zakopanym w stajennym barłogu, unurzanym w miejskim rynsztoku...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Opuściwszy kościół, natknęliśmy się na braciszka zakonnika, który wiódł człowieka, pozbawionego przytomności. Pijak mógł się zaledwie utrzymać na nogach, a braciszek z trudnością go podtrzymywał i bronił prośbą od motłochu, który gwizdaniem i śmiechem wypędzał z Kazimierza nieszczęśliwego chrześcijanina.

Nie namyślając się, pospieszyliśmy braciszkowi na pomoc.

— Idziemy do schroniska, ale to stąd jeszcze daleko — panowie się zmęczą, ja sam dam mu radę... — Mówił brat Albert pokornie, aleśmy go nie opuścili.

Przy furcie schronienia, gdy nam dziękował, Jordan odrzekł:

— To Skarga na waszą drogę, bracie czcigodny, nas naprowadził.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

WŁADYSŁAW MALESZEWSKI.

# ADAMPOL.

Osada polska w Azji Mniejszej, położona o dwie godziny drogi od Bosforu, a cztery godziny od Konstantynopola, jest tak nazwana dla uczczenia księcia Adama Czartoryskiego. Rozumny ten obywatel zakupił tutaj przed ośmdziesięciu laty 2000 morgów gruntu, zarosłych lasami i przeznaczył je dla byłych polskich wojaków, pragnących żyć z roli, a nadto uwolnił ich na zawsze od płacenia sobie i swoim następcom czynszu. Kolonja używała przez długi czas pewnej eksterytorjalności, pozostając pod protektoratem francuskim, co jej dawało przywilej niepłacenia podatków, a osadnicy nie mieli wyznaczonego obszaru i uprawiał każdy tyle, ile wykarczował.

Ziemia nie jest tutaj zbyt urodzajna i rodacy nasi dopomagać sobie muszą przemysłem, to też chętnie wydzierżawiają swoje mieszkania letnikom, przybywającym z Konstantynopola, i spore dochody ciągną z wiśni, a nadewszystko z masła, które wyrobiło sobie taką sławę, że chętniej jest kupowane w Konstantynopolu od innego. Pierwsi osadnicy już wszyscy pomarli, a z dzisiejszych, których jest z górą trzystu, ani jeden nie był w Polsce. „Chciałaby dusza do raju“ — mówią — ale o pieniądze trudno. Mimo to nie wynaradawiają się.

W schludnych izbach na ścianach widnieją portrety zasłużonych Polaków, a na półkach wyłącznie książki polskie — nikt tu swego języka nie zapomniał! Mężczyźni ubierają się w zwykły strój europejski, kobiety—jak zaściankowe szlachcianki. Dziewczęta, chociaż czasem wychodzą na służbę do Konstantynopola, to wracają i za mąż idą w kolonji.

W szkole, wyłącznie polskiej, utrzymywanej własnym kosztem i nader starannie prowadzonej, był nauczycielem przed kilku laty p. Ziółkowski, poznańczyk, zięć zasłużonego wójta Adampola, p. L. Biskupskiego.

Kościół drewniany spłonął przed kilku laty i nie doszło do naszej wiadomości, czy został już odbudowany; w kościołku odprawiał nabożeństwo ksiądz z Konstantynopola.

Mamy przed sobą ciekawe album Adampola z nader charakterystycznymi podpisa-



Rodzina Winc. Ryżego przy „harmanie“ (omłocic) zboża. (z alb. d-rowej Stankiewiczowej).



Kępkowie z dziećmi i wnukami przed swoją chatą. (z alb. d-rowej Stankiewiczowej).



Grupa kolonistów przed byłą administracją w Adampolu.
(Z albumu udzielonego łaskawie przez d-rową Stankiewiczową).



Adam i Ewa Adampola. (Ignacy i Elżbieta Kępkowie).

mi, objaśniającymi liczne fotografje. Zaznajamia nas ono z całemi dziejami kolonji, z ich mieszkańcami, stosunkami pokrewieństwa, a nawet z ich przymiotami i wadami, nieraz dosadnie wytykanemi.

Album ofiarowane jest Antoniemu Kępce przez „przyjaciela Polaków i Adampola“, austryjackiego Niemca, który w kolonji stale poluje na borsuki. W uzupełnieniu do dedykacji opowiada o nim p. Rotter-Eger, że „ten szlachetny i wspaniały dar dowodzi, że i między Niemcami trafiają się jednostki z poczuciem ludzkiem, godne miana ludzi — nie sami wilcy, ludźmi się karmiący, choć o ludzkiej postaci!“

Dalej widzimy w albumie „Drzewo rodowe“ Ignacego Kępki i jego żony Elżbiety, zwanych „Adamem i Ewą Adampola“ i po szeregu fotografji, z których tutaj kilka podajemy, następuje wiersz nieznanego autora, poniżej in extenso przytoczony, a po nim na samym końcu podana jest mapa, zatytułowana „Sąsiedztwa Adampolskie“.

Tak drzewo genealogiczne Kępków, jak i wspomniana mapa robione są prostym sposobem w dwóch kolorach: czerwonym i czarnym, z uwagą, że „kolory mówią same za siebie“, przez co autor chce powiedzieć, że osoby oznaczone kolorem czerwonym należą do dodatnich i przeciwnie, kolorem czarnym do ujemnych postaci.

Rzeczki, przepływające przez Adampol, nazwane są na mapie: Wisłą, Niemnem i Bugiem.

A oto swojskie epos o Adampolu:

Kolonja Polska w Azyi Mniejszej.
Adampolem dzisiaj zwie się
Dawna cząstka dzikiej Puszczy
Za Bosforem, w górach, w lesie,
Wśród najsroższej wokół tłuszczy,
Bez dostępu, ni wychodu,
Z gór Labirynt Śmierci... z Głodu.

Garstka mężczyzn, gdy jej z ręki
Miecz wyrwano, mszcząc swej szkody
I by skrócić serca męki,
Przyszła tutaj iść w zawody
Z wilkiem, dzikiem i szakalem,
Byle skryć się ze swym żalem.

Zbrojna w flinty i siekiery
Piły, młoty i oskardy,
Przyszła wieść tu żywot twardy,
Odbierając bestjom żery.
Mazur, Litwin, Podolanin,
Szli żyć z Puszczy... miast z żebranin.

„Skoro człowiek zdrów i młody“,
Rzekli sobie, „Jakoś będzie!
„Niedźwiedź odda nam swe miody,
„Dzikom weźmiem ich żołędzie,
„Obóch mięso, istne gody,
„Obóch skóry dla wygody.

„Na mieszkanie, nie brak kniei,
„Zwalim drzewa, pnie wyrwiemy,
„Wyprzem zwierza, a z kolei,
„Grund skopiemy, obsiejemy,
„I gdzie rosną dzigry, wrzosy,
„Zalśnią w słońcu złote kłosy“.

Wierni hasłu: „Rąb i pal,
„Niech się światło przez nas szerzy;
„Kto w nią pierwszy wbije pal,
„Temu ziemia przynależy!“
Piędź po piędzi karczowali
I wsyt chleba stąd dostali.

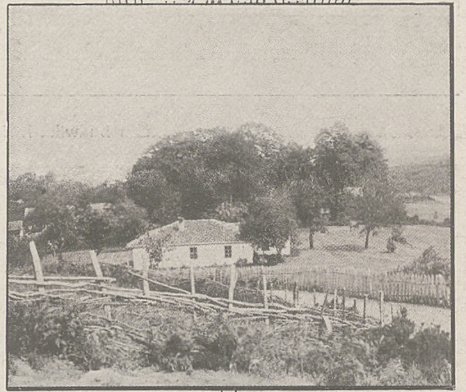
Kto ma wolę i hart duszy
I wyraźne życia cele,
Łamie tamy, więzy kruszy,
I pod stopy wszystko ściele!
Tak wśród dzikiej wokół tłuszczy,
Rósł oazis wpośród puszczy.

Rósł, bo każdy ten wychodziec
Przyniósł z sobą do tej walki
W sercu swojem ostry bodziec:
Polskę, Polkę—dwie rywalki:
Tej miał zdobyć utrzymanie,
Tamtej chlubę i uznanie.









Padły laury, buki, dęby,
Ziemię z zwierza oczyszczono,
Było chleba „wyżej gęby!“
Nastał czas na oblubioną...
I tę „z Kraju“ sprowadzono.
I do własnej schludnej chaty,
Luzak dotąd, wszedł—żonaty.

Gdzie niewiasta, co ma swoje
Przeznaczenie, wstąpi w progi,
Jakby zsypał w te podwoje
Obfitości słynne Rogi...
Duch tam wieje iście Boży
I z niczego... coś się tworzy.

Że wciąż więcej rąk tu trzeba,
Do pracy przy ojca boku,
W każdem stadle, z łaski nieba,
Przybywało rok do roku,
Gdy nie częściej—rączek dwoje,
Zamieniając pary—w roje.





Gdzie co było błót, moczarów,
Gdzie gad, albo złe spoczywa,
Jakby za podmuchem czarów
Wyrósł ogród, w nim warzywo:
W rzędy, w grządki, w tyczki, w ławy,
Z dwóch półkuli smaczne trawy.

Wokół domu, w ogrodzeniu,
Sad za sadem. Drzew nie zliczy
Ze stref obu. A w ich cieniu,
Krążą dzieci wśród słodyczy,
Niby rybki w czystej wodzie,
To matczyne „Pszczółki w miodzie“.







Przed domem Ludwika Biskupskiego.

„Tej, co pięknie ołtarz mai,
„Tej, co sutsze wianki plecie,
„Marja prędzej męża da jej...“
Tak tu śpiewa dziewczę-dziecię,
Gdy przed frontem swojej chaty
Sadzi w klombach wonne kwiaty.

Kto zapuści się tu w maju,
Kiedy wszystko w pełnym kwiecie,
Poprzysięga, że jest w Raju,
Tym biblijnym, jednym w świecie.
Snać dla tego Bóg tę rolę
Kazał nazwać: Adam-Pole...

A w gościnę kto zawita,
Choćby dwór, co jeździ z świtą,
Nakarmiony jest do syta,
Strawą zdrową, wyśmienitą.
Też dziś i Ambasadory
Rade zwiedzać „Cygan-Nory“...

Tak się zwały nlegdyś knieje,
Zamienione w Adampole,
Że z nich duch postępu wieje,
To najżywiej Turka kole.
I z urazy, dla obrazy,
„Czegene-Konakiem“ zwie je [1])

Jeśli kiedy z Adampola,
Dzieła głównie Kępków pracy,
Kraj... wytworzy, Boża wola...
Pomnieć trzeba: że Ignacy
Twórcą jego, a korona
Przypada w nim na Antona!

Do roboty wszelkiej skorzy,
Rozmnażając się wciąż żwawo,
Zdali resztę... na los Boży:
Bóg to chciał mieć takie prawo:
Niżsi, wyższym służą strawą,
A malutkie — wielkie tworzy... [2]).

B. S.

---

[1]) Cregene-Konak: Cygański pałac, czyli nora, buda.
[2]) Ci Polacy, miłując Pracę i oświatę, są o wiele wyżsi od otaczających ich Turków i innych.

# CO NOSZĄ.

Lato zawiodło. Zimna, trwające od połowy lipca, zmusiły do porzucenia sukien lekkich, białych, trzeba było włożyć angielskie kostjumy, tak praktyczne i przyjemne w noszeniu. W sezonie bieżącym mają one linię niesłychanie prostą, żakiety wydłużone z tyłu i zapięte na jeden guzik. Spódnice przeważnie w paski. Jako dodatek konieczny do kostjumów, należy uważać bluzki, które tego roku są przepiękne. Najmodniejsze składają się z kilku barw, jak np.: niebieski mousseline de soie, podbity zielonym, na tem medaljony haftowane koloru mocno żółtego, albo jedwabny muślin biały na tle wiśniowego tiulu. Wszystko to bez oplisek, zakładek, może być tylko kołnierzyczek z koronki i mały krawacik z czarnego aksamitu.

Ważna kwestja zajmuje obecnie piękne i modne panie: czy spódnice będą szersze? Jedni mówią „tak“, inni „nie“. W rzeczywistości paryscy



P. Lucyna Messal w toalecie wieczorowej.

# MODY.



P. Lucyna Messal w toalecie wieczorowej.

krawcy dokazali sztuki, zużytkowując o wiele więcej materjału, choć pozornie suknie są równie wązkie, jak dotąd. Krótkie paniery zastąpiono długiemi draperjami, uniesionymi bądź z przodu, bądź z tyłu, które tworzą jakby ,,ukos". Noszą również suknie, ozdobione futrami: draperje przeważnie tiulowe lub z mousseline de soie, białe i kolorowe, oszywają wązkim paskiem skunksów i gronostajów. Kolorem, który paryskie elegantki kreowały, jako modny, jest lilas i banane.

Najwyższym szykiem jest mieć suknię i płaszcz jednego koloru, a przynajmniej płaszcz podbity materją koloru sukni.

Białe lisy, skunksy i królewskie gronostaje ciągle jeszcze są najdroższe i najmodniejsze.

Kapelusze pilśniowe (feutre) mają tego roku wielkie powodzenie. Mnóstwo ich w magazynach paryskich, wielkich i małych, przeważnie zaś noszą białe. Paryż, zasypany formalnie białymi kapeluszami, których fason dostosowany do wszelkiego rodzaju typów, jest niezmiernie do twarzy. Przybranie ich stanowi wydłużony pukiel materji, aksamitu, małe skrzydełko lub egreta, czasem aż dwie, przypięte w dwie przeciwne strony. Co zaś do ogólnego charakteru mody, w jesiennym tegorocznym sezonie, to o ile na ulicę obowiązuje strój gładki i skromny, o tyle suknie wizytowe i wieczorowe odznaczają się przepychem i fantazją. Oczywiście mowa tu na razie o Paryżu, niema jednak wątpliwości, że i Warszawa pokaże, jak dalece umie być piękną i elegancką.

## Z życia towarzyskiego.

W pierwszych dniach Października odbył się w Wilkianach, w gub. kowieńskiej ślub Jerzego hr. Broel-Platera, syna ś. p. hr. Adama, marszałka gubernjalnego wileńskiego i Genowefy z Pusłowskich, z Janiną hrabianką Broel-Platerówną, córką hr. Aleksandra i Marji z Ciechanowskich hr. Broel-Platerów. W wigilję tego dnia rodzice panny młodej podejmowali grono krewnych i przyjaciół, a ochocze tańce przeciągnęły dziewiczy wieczór do późnej nocy. Pomiędzy zebranymi byli przedstawiciele rodzin Broel-Platerów i Plater-Zyberków, Hołyńskich, Żagielów, Komarów, Czackich, Tyszkiewiczów, Wolmerów, miejscowy proboszcz i dziekan ks. Maciejowski, były poseł do Dumy, ks. dziekan Jarułajtis i inni. Zgodnie z patrjarchalnymi stosunkami, panującymi w Wilkianach, zaproszeni byli też członkowie administracji majątków Szwekszyń i Wilkian. W dzień ślubu od samego rana w miasteczku i po drodze do dworu, liczne grupy ludzi ochoczo i wesoło zajęte były wystawianiem bram, ozdabianych w zieleń, chorągwie i transparenty. Wystawiono bramy od parafjan, od administracji i służby wilkiańskiej, od administracji i posesorów szwekszniańskich, od Żydów mieszczan szwekszniańskich i inne.

Kościół wspaniały, niedawno wybudowany w stylu gotyckim, ślicznie udekorowany wieńcami z zielenią, przepełniony był ludem, który się zebrał ze wsi okolicznych, aby wspólnie z młodą parą pomodlić się o jej szczęście. Ślubu udzielił w asystencji duchowieństwa sąsiednich i dalszych parafji miejscowy proboszcz i dziekan, ksiądz Maciejowski, który po przeczytaniu depeszy, udzielającej błogosławieństwa Ojca Świętego młodej parze, serdecznie przemówił po polsku i po litewsku, zaznaczając szczery udział, jaki przyjmuje w tej uroczystości cała parafja.

Wracając z kościoła do dworu wilkiańskiego, nowożeńcy byli zatrzymywani przy bramach, gdzie wyrażano im serdeczne życzenia. Najwznioślejszą chwilą, poruszającą wszystkich do głębi, było zatrzymanie młodej pary przed pałacem, gdzie wraz z rodziną państwa młodych stali włościanie-gospodarze gminy szwekniańskiej. Jeden ze starszych włościan długo i rozumnie przemawiał po litewsku, jako sąsiad, od imienia i z upoważnienia sąsiadów-gospodarzy; wyraził radość wszystkich swych współbraci z tego związku małżeńskiego, łączącego dwie młode osoby, tak dla włościan miłe. Włościanie złożyli nowożeńcom w darze obraz M. B. Ostrobramskiej. Państwo młodzi, każde z osobna, dziękowali za serdeczność im okazaną i za tak cenny dla nich podarunek ślubny. Z liczby zebranych sąsiadów-włościan, 80-ciu zostało zaproszonych na obiad do specjalnie przygotowanego pomieszczenia, gdzie ich przyjmowali państwo młodzi.

Tę jedność dworu i wsi i stosunek oparty na traktowaniu włościan, jako młodszej braci, uwydatnił w mowie przy uczcie weselnej hr. Aleksander Tyszkiewicz, były poseł do Rady Państwa, zaznaczając, że ta jedność jest jedyną potęgą, zdolną zwalczyć rozpanoszoną obecnie nienawiść partyjną, klasową i narodowościową, a toast swój „Kochajmy się“, zakończył słowami: „Kochajmy lud jak braci, bo czas po temu“.

*Szanownych Czytelników i Przyjaciół naszego pisma prosimy uprzejmie o nadsyłanie nam materjału opisowego i ilustracyjnego do kroniki z „Życia towarzyskiego“.*

# Wspomnienia z lat ubiegłych.

(C. d.)

Wielopolski, pragnąc osłabić żywioły rewolucyjne, ogłosił brankę 12 tysięcy popisowych, przeważnie z klasy robotniczej. Chłopi i synowie obywatelscy byli zwolnieni od wojska. Branka okazała się fatalną w skutkach. Czerwoni, wierni swemu hasłu: „dzień poboru, dzień powstania“, dali początek rewolucyi. Materyałów palnych było dosyć. Mieszczanie, rzemieślnicy, młodzież przemysłowa i handlowa i znaczna część bardziej gorącej młodzieży szlacheckiej przyłączyli się do Czerwonych. Wybuchnął groźny fajerwerk 22 stycznia 1863 roku.

Nie mogłem się oswoić z myślą o powstaniu, gdyż uważałem je za wielkie szaleństwo.

Nagle 23-go stycznia rano oznajmiono mi, iż na granicy mego majątku, Rudy Kościelnej, zebrała się spora gromada uzbrojonych. Wsiadłem na konia i podążyłem we wskazanym kierunku. Ujrzałem kilkuset mieszczan, opatrzonych w kilkanaście dubeltówek i pojedynek zaledwie, a przeważnie w kosy i zwykłe pałki. Od nich dowiedziałem się, iż w Szydłowcu i Jelu rozbrojono wojsko, odebrano karabiny i że pod dowództwem Langiewicza zbierają się ochotnicy w Wąchocku.

Moje perswazye na nic się nie zdały. Byłem zrozpaczony, czując, jak wielkie nieszczęście na kraj sprowadzają.

W parę dni potem odbył się odpust w Rucku. Gorączka ogarnęła księży, a jedna z pań obecnych dogadywała mi, iż myślą mi przesłać zajęczą skórkę.

— „Wielkie nieszczęście się stało—odparłem— jednakże, ponieważ nie mam obowiązków, gotówem poświęcić mienie i życie, lecz uważam, iż obywatel, gospodarujący na większej przestrzeni, nie powinien porzucać swego zagonu, bo któż dostarczać będzie powstańcom przedmiotów koniecznych?“

Opowiedziano, iż w gospodarstwie chętnie mnie zastąpi obecny ks. Kozłowski z Bałtowa—zaraz więc wziąłem się do przygotowań.

Jako wójt, zwołałem gromadę, gminę zdałem sąsiadowi Nowakowskiemu, mówiąc włościanom, że idę walczyć za sprawę ogólną, a przedewszystkiem za nich, gdyż Rząd Narodowy daruje im okup, który mieli płacić. Najchętniej też wezmę ze sobą tych młodych, którzyby zapragnęli mi towarzyszyć. Znalazło się kilku ochotników, a wśród nich kosynier 31 roku — Włodarski.

Kazałem kosy wyprostować i ruszyliśmy do Wąchocka.

Zastaliśmy Langiewicza na czele paru tysięcy nierównomiernie uzbrojonych i niewyćwiczonych, lecz pełnych wiary, iż Ojczyzną zbawią. Mówiono wprawdzie o legionach, które jakoby miały przybyć z Włoch, lecz pozostały one na zawsze legendą.

W Wąchocku zwrócił moją uwagę oddział kawalerji rotmistrza Prędowskiego, złożony przeważnie z synów obywateli z Sandomierskiego, odznaczających się dziarską miną — jak dwóch Marczewskich Ludwika i Antoniego, Łabęckiego, dwóch Wolskich— Tarczewskiego, Piotrowskiego i innych — również cały bataljon, złożony z włościan pod dowództwem barona Heydla, oficera wojsk austryjackich. Bataljony Klimaszewskiego i Dawidowicza — przeważnie z mieszczan i górników.

Zamieniłem parę koni na karabin i udałem się do Langiewicza, który mię przeznaczył do batalionu Klimaszewskiego, urzędnika górniczego z Parszewa. Na drugi dzień wysłano nas w 400 ludzi do Bodzentyna.

Nominowany przez wodza porucznikiem, przyjąłem zajęcie magazyniera batalionu i pełniłem je przez pięć dni. Magazyn zaopatrzyłem w mięso i inne produkty obficie. Pomocnikiem moim był rymarz Konewicki — wszyscy byli bardzo zadowoleni. Nabrałem prawdziwej otuchy, widząc ofiarność, z jaką włościanie dostarczali nam żywności, obuwia i okryć. Codziennie nadciągali ochotnicy z wszelkich sfer społecznych. Oddział nasz miał w bród wszystkiego.

Raz przyjechał Langiewicz ze sztabem, a że mieliśmy kucharza w oddziale, podałem wspaniały obiad z winem. Sztab bardzo chwalił porządek i wznosił moje zdrowie.

Po upływie tego czasu przyszedł rozkaz uderzenia na Suchedniów, gdzie ukrywali się Rosyanie. Rzeczywiście zastaliśmy ich w kilku domach. Klimaszewski poprowadził nas do ataku. Lecz po krótkiej wymianie strzałów, wszyscy cofnęli się w popłochu, pozostał tylko Tuszewski i ja. Miałem szczęście, choć jeszcze niewprawny w używaniu karabinu, położyć trupem nieprzyjaciela.

Powróciliśmy z musu do swoich. Za Suchedniowem spotkaliśmy drugi oddział pod dowództwem Czachowskiego, oficera wojsk polskich z 31 roku. Sądziłem, że ze zwiększoną siłą uderzymy powtórnie na wroga, lecz, niestety, skończyło się na debatach.

Wieczorem nadszedł Langiewicz z ludźmi Heydla, wojskowego austryjackiego, i z kawaleryą pod

Janem Prędowskim. Byłem przekonany, iż tym razem napewno nas poprowadzą na nieprzyjaciół, których była garstka zaledwie—zdążyli jednak w czasie tych wahań opuścić Suchedniów. Langiewicz rozkazał Czachowskiemu zająć to miejsce, Klimaszewskiemu stanąć w Parszewie, a sam powrócił do Wąchocka.

W Parszewie, szosą od Kielc, nadeszło kilka rot Rosyan z armatami pod Czengierym. Ostrzeliwaliśmy się z początku, lecz pod naporem znacznej siły, zaczęliśmy się również cofać do Wąchocka, skąd dochodziły nas odgłosy walki i huk armat. Jakiś zbieg oznajmił nam, iż Rosyanie zajęli to miejsce i że Langiewicz udał się w góry Świętokrzyskie. W trakcie zamieszania straciłem z oczu dowódzcę Klimaszewskiego i większą część towarzyszów. Zostało nas tylko około stu. Duch znacznie osłabł w ochotnikach i zaczęli przebąkiwać o powrocie do domu. Nie broniłem im tego, uważając iż niechętni są niepotrzebnym ciężarem dla oddziału, poleciłem tylko pozostawić broń innym, a nawet opatrzyłem ich na drogę, gdyż wielu nie miało grosza przy sobie. Opuściło nas ze trzydziestu; stanąłem na czele reszty i powiodłem do Langiewicza, który stał u podnóża gór pod Słupią.

Z trzech tysięcy ludzi, jakie miał jeszcze w Wąchocku, pozostało tysiąc dwieście, podzielonych na cztery bataliony. Pierwszym dowodził Klimaszewski, któregośmy tu znaleźli, drugim Czachowski, trzecim Dawidowicz, a resztki batalionu Heydla objął Dąbrowski.

Rozłożyliśmy się w lasach, lecz krótko trwał odpoczynek. W czasie tym niespodzianie przyjechało trzech obywateli: Roman Cichowski, Stanisław Karski i Konstanty Rusocki do Langiewicza z prośbą, aby nie ściągał więcej klęsk na kraj znękany, zaprzestał powstania, które nie ma najmniejszej przyszłości, a sam wyjechał za granicę. Ofiarowali mu znaczną sumę na koszta podróży. Lecz obecny w namiocie ks. Kotkowski zgromił ich, mówiąc, iż walczyć będziemy do ostatniej kropli krwi. Odjechali więc z niczem, wysłano wkrótce w pogoń za nimi kawaleryę, lecz ich nie dopadła.

Pod Ś-to Krzyską Górą trzymano jako więźnia niejakiego Moreau, oficera rosyjskiego, który przyłączył się do naszego oddziału. Później ktoś podszepnął, że to szpieg; ja sądzę, że to była gruba pomyłka. Na szczęście zginął w utarczce i nie od swoich.

Piątego dnia, rano, uderzył na nas Czengiery z dużą siłą. Schroniliśmy się coprędzej do klasztoru i z za murów broniliśmy się przez dzień cały. Wieczorem nieprzyjaciel cofnął się. Zapytałam dowódzców batalionów, co dalej zamierzają czynić, gdyż nie posiadamy ani żywności, ani amunicji, a prowizoryczna twierdza niedługo wytrzyma napór. Odpowiedzieli, iż spełniać będą rozkazy Langiewicza. „Niechże mu chociaż panowie przełożą, iż zginiemy tu marnie, bez korzyści dla Ojczyzny“— prosiłem. Przeszli do refektarza, gdzie znajdował się wódz, wsunąłem się za nimi, lecz pomimo mych znaków, żaden z nich nie poruszył sprawy naszych losów. Gdy rozeszli się na spoczynek, sam przystąpiłem do Langiewicza i śmiało spytałem: „Co uczynimy, jeśli obsaczy nas Czengiery, a nie będziemy mieli czem się bronić?“ — „Będziemy walczyli do straty tchu w piersiach — odparł, — lecz cobyś pan zrobił?“—„Podług mojego planu, wyszlibyśmy cichaczem w nocy boczną drogą ku Staszowowi, wsiedlibyśmy na furmanki i pojechali między granicę austryjacką i pruską, gdzie znajdują się oddziały nasze — a nieprzyjaciel z pół dnia jeszcze szturmować będzie klasztor, nim zauważy, iż pustką stoi“. Wódz się zamyślił, po chwili spytał: „A co się stanie, jeśli nie zastaniemy nikogo z naszych?“ „Wówczas przejdziemy granicę“. Langiewicz zakończył rozmowę wyniośle słowami: „Wiem, co mam robić“. Opuściłem go, życząc spokojnej nocy, lecz, nim zdążyłem zamknąć drzwi, doszedł mych uszu głos Janowskiego, komisarza Rządu Narodowego: „Jednakże ten szlachcic ma rację“.

W parę godzin zbudzono nas i nad ranem opuściliśmy klasztor, zupełnie podług mej rady. Zdala dolatywał nas huk szturmujących armat, lecz na szczęście byliśmy już bezpieczni. Poszliśmy w kierunku Staszowa, zajętego przez majora Ułatowskiego, który miał pareset nieźle uzbrojonych ludzi. Po jednodniowem wytchnieniu tam ruszyliśmy dalej, wciąż zaczepiani przez kozaków i dragonów; zdołaliśmy ich jednak krótkotrwałą strzelaniną odpędzić. Nazajutrz połączyliśmy się z oddziałem Jeziorańskiego, dobrze uzbrojonym i w sile dwóch tysięcy ludzi posuwaliśmy się ku Małogoszczowi.

Zachodziło teraz pytanie, kto obejmie główne dowództwo: Langiewicz, czy Jeziorański? Obiecali wspólnie działać, lecz ta kwestja nie została ostatecznie rozstrzygnięta. Byliśmy pełni otuchy i dumy z naszej małej artylerji, złożonej z dwóch armat żelaznych, ulanych w Wąchocku.

Oddział Jeziorańskiego był lepiej umontowany. Szczególnie kawalerja, dowodzona przez pułkownika Bayera, miała wygląd dziarski i konie wyborne. Był w tym oddziale smutnej pamięci Tomasz Stamierowski, który odznaczał się szaloną odwagą, ale wskutek jakiejś sprzeczki, odłączył się od oddziału i zaczął na swoją rękę partyzantkę, lecz najwięcej na tym ucierpiały dwory, które rabował. Rząd Narodowy wydał na niego wyrok śmierci i dopiero w kilka

miesięcy w Warszawie pochwycił jadącego powozem Chmielnicki i rozstrzelał — wpadł mi w oko równocześnie młody człowiek nizki z bardzo butną miną na dużym koniu, zapytałem, kto on, objaśniono mnie, że to student ze szkoły głównej, Bolesław Przyłęcki, późniejszy wybitny adwokat.

Niespodzianie otoczyli nas zewsząd Rosyanie w kilkanaście rot, pod Czengierym. Zmuszeni byliśmy stoczyć bitwę. Z początku ogrzewał nas wielki entuzjazm i wiara w swe siły. Niestety, armatki nasze po pierwszym strzale pękły, a gdy zaczął nas zasypywać grad kartaczów i nieprzyjaciel zaszedł nas z boku, zmuszeni byliśmy cofnąć się, poniósłszy ogromne straty. Zginęło 400, a pareset wzięto do niewoli; prawdziwą klęską było też zniknięcie furgonów—nie wiedzieliśmy, co się z nimi stać mogło. Czengiery z pod Małogoszcza powrócił tryumfalnie do Kielc, wiodąc jeńców i dwie armaty.

My stanęliśmy we wsi Słupia; Langiewicz natychmiast wysłał mnie samego na poszukiwanie furgonów. Dojechałem do majątku Oksy i prosiłem tamtejszego właściciela Wąsowicza o przewodnika, gdyż noc zapadła bardzo ciemna. Do rana szedłem pieszo, prowadząc konia. We wsi Ludyni stanąłem przed gorzelnią, aby zasięgnąć wiadomości. Gorzelany zwrócił mą uwagę na stojącą na wzgórzu pikietę kozaków. Gdy mnie ujrzeli, czterech puściło się w pogoń za mną; oczywiście ruszyłem co tchu do poblizkiego lasu, lecz koń mój był o wiele gorszy i przymęczony drogą, tak, iż dobiegając lasu, miałem ich o kilkanaście kroków za sobą. Wpadłem pomiędzy drzewa, zeskoczyłem z konia i stanąłem za pniem z rewolwerem, wyczekując, co dalej będzie. Kozacy po kilku wystrzałach i wymyślaniu zawrócili.

A ja poszedłem w głąb z koniem. Byłem tak wyczerpany, iż pomimo śniegu położyłem się pod dębem i natychmiast zasnąłem. Obudził mnie ogromny huk. Zerwałem się i wskoczywszy na konia począłem szukać wyjścia na otwarte pole. Po kilku wiorstach spotkałem uciekających powstańców, którzy zbiegli od naszych drogocennych furgonów, rozbitych przez kozaków.

We wsi Bebelno powiadomiono mnie, iż Langiewicz podążył w kierunku Koniecpola. Dopędziłem go i oznajmiłem o smutnym losie naszej amunicji. Natychmiast polecił mi udać się do Krakowa, aby przyspieszyć wysyłkę ołowiu i prochu.

Znów więc ruszyłem w drogę. Szczęśliwie wywiązałem się z zadania, gdyż wysłano zaraz Langiewiczowi spory zapas amunicji, dzięki czemu mógł uderzyć pod Skałą na Rosyan, którzy się cofnęli. W bitwie tej nie brałem udziału, miałem bowiem jeszcze polecenia takież same do Lwowa. Powróciłem dopiero do Goszczy na granicy austryjackiej ze znaczną ilością amunicji i dwoma towarzyszami, namówionymi przezemnie do powstania. Byli to: porucznik wojsk austryjackich, a następnie dowódzca oddziału, Eminowicz, który zginął pod Opatowem, oraz feldfebel Czerkaski. W Goszczy zastaliśmy ruch wielki. Przybyło wielu wojskowych z 31 r., między innymi Waligórski, pułkownik armji szwedzkiej. Odwiedzali nas wciąż krakowianie, przeważnie kobiety. Nadciągało wielu ochotników z innych zaborów, a nawet chłopów krakowskich. Dostawiano nam wybrakowane austryjackie karabiny. Rozwinęła się na wielką skalę fabrykacja ładunków. W kilka dni zebrało się cztery tysiące powstańców. Zjawiła się też panna Postowójtówna, córka generała rosyjskiego i pani Kossakowskiej. Wywieziona do Rosji za manifestacje w 61 r., uciekła do Rumunji, a teraz powróciła do kraju uzbrojona, wielce odważna.

Spędziliśmy w Goszczy przeszło tydzień, nie zaczepieni przez nikogo. Langiewicz został mianowany głównodowodzącym. Wysłano też z Paryża delegatów, aby go namówili do przyjęcia dyktatury, a to w myśli wyrwania władzy z rąk Czerwonych i skupienia jej w jednej osobie. Czy zrobiono dobry wybór, powątpiewam, lecz zdaje mi się, iż chodziło głównie o odsunięcie od dyktatury Ludwika Mierosławskiego, obranego przez partję demokratyczną paryskiej emigracji.

Po przyjeździe do Goszczy, poszedłem obejrzeć formujący się batalion żuawów pod dowództwem Rochebrun'a, dawnego sierżanta francuskiego. Ledwo mu się zarekomendowałem, zawołał radośnie: „Voila mon porte—drapeau". Odpowiedziałem, zdziwiony tym okrzykiem, iż jestem porucznikiem sztabowym przy Langiewiczu, a on na to: „I u mnie będziesz pan miał tę samą rangę, a lepszego chorążego nie znajdę", gdyż byłem wielkiego wzrostu i silnie zbudowany.

Zgodziłem się na zmianę; przebrałem się zaraz w mundur żuawski — surdut czarny bez kołnierza, na rękawach złote szychy, kamizelkę czarną z białym krzyżem, fez z barankami, pantalony czarne szerokie w butach i pas czarny z klamrami.

Oddział ten nosił nazwę „les zouaves de la mort" i „bez pardonu".

Przyjmowano do niego ochotników o minie zawadjackiej. Gdy tylko przybyła grupa powstańców do Langiewicza, oficerowie żuawów przechodzili wzdłuż szeregów i wybierali obdarzonych odpowiednim wyglądem. Cisnęli się do nas synowie emigrantów francuskich, Włosi i Węgrzy. Rochebrun wciąż nas musztrował, głównie zaprawiał do walki na bagnety, zaprowadził ogromny rygor, ale zarazem i koleżeństwo.

O ile sobie przypominam, pierwszą kompanią

dowodził Czaderski, inżynier dróg i mostów, drugą — Postolski, oficer rosyjski, trzecią — Sokołowski, późniejszy dowódzca samodzielnego oddziału, jako „Iskra", tenże Sokołowski smutnie skończył, gdyż został rozstrzelany przez Chmielnickiego za nadużycie. Jednak zginął jak Polak z okrzykiem ojczyzny na ustach. Dosyć wesołe prowadziłem życie. Piechotą dowodził hr. Komorowski, kapitan wojsk austryjackich, późniejszy dowódca oddziału, wyprowadzonego z Galicji późną jesienią, złożony z 600 ludzi, został rozbity na Wołyniu pod Poryckim. Oprócz nich było kilku poruczników, jak Bogdan, rosyanin, garybaldczyk, również późniejszy dowódzca oddziału, adjutantem Rochebrun mianował Sławińskiego. Mieliśmy kilku wybitnych podoficerów—Listopada, który swym dowcipem wszystkich zabawiał, Zlaznowskiego, Grzegorzewskiego, Wierzbickiego, Rozwadowskiego, Leśkiewicza, Miklaszewskiego. Kapelanem naszym był ks. Kamiński, następnie kanonik starokatolików w Prusach, w końcu głowa tego kościoła w Stanach Zjednoczonych. Kazimierz Frycz w ciągu całego powstania nie chciał przyjąć żadnej rangi, pozostając dobrowolnie prostym żołnierzem.

Wesoło było w obozie. Nadzieje, że Austrya i Francya ujmą się za nami i że potrafimy poruszyć nasz lud, pokrzepiały nas.

Rzeczywiście prawie codzień przyjeżdżali na zwiady włościanie, a powracali do siebie z przesadną wiadomością, iż jesteśmy bardzo silni i liczymy kilkadziesiąt tysięcy wojska. Rezonowali, iż trzeba będzie w końcu do nas się przyłączyć, gdyż inaczej powróci pańszczyzna. Jedna znaczniejsza wygrana byłaby nam zjednała całą brać siermiężna.

Zwycięztwo było całkiem możliwe, gdyż i do Rosyan dochodziły fałszywe wieści o naszej potędze, a wśród nas panował entuzyazm wielki. Niestety, nie umiano z niego skorzystać.

Z Goszczy wyszliśmy do Sosnówki, gdzie znów zatrzymaliśmy się na dni kilka. Tam też Langiewicz ustąpił naleganiom i przyjął dyktaturę.

Rankiem dano żuawom znać, aby się zebrali w komplecie i przyszli na uroczystość ogłoszenia dyktatury. Zbieraliśmy się powoli i niechętnie, co chwila przysyłano po nas, istniała bowiem wątpliwość, czy wogóle się zjawimy. Nareszcie Rochebrun zakomenderował „Biegiem!" i tak wpadliśmy z impetem w uformowany czworobok.

Odprawiono Mszę św., poczem Langiewicz złożył przysięgę wierności narodowi, a oddziały wszystkie przysięgały wierność i posłuszeństwo dyktatorowi. My tylko krzyknęliśmy: „Wierność krajowi!"

(D. c. n.) LUDOMIR CYWIŃSKI.

# KOŁO SANDOMIERSKIE.

Słyszeliście o czapce „niewidce“?

Nie wierzycie?

A jednak, niżej podpisany wasz sługa zaręczyć może, iż takie „otoczenie umysłu“ (według malowniczego określenia jednego z sandomierzan) istnieje, ku wygodzie korespondentów, którzy nie chcąc stracić głowy w natłoku wrażeń, wolą być niewidzialni, aby tym lepiej wywiązać się z zadania.

Czapka „niewidka“ istnieje, i to różnych fasonów, zależnie od okoliczności.

Ja, wybierając się na tor Bugajski, włożyłem „niewidkę“ sportowego kroju, nieco na bakier, zuchowato... Boć to przecie sandomierska ziemia, co krakowskiej na „kochajmy się“ od wieka „nie dajmy się“ odkrzykuje!

Ba! i nie daje się w istocie. Rodzi złote kłosy i złote serca, sandomierkę i sandomierzanki, rodzi ważkie ziarno i dziarską młodzież, ochoczość do pracy i zabawy. Tężyzna gleby i ludzi.

A jakie „dziewuchy“ ładne! a p a g e s a t a n o s! Pięć krzyżyków... łeb siwy... korespondencie! już nie pora na takie specjały! Z wieku i urzędu przystoi ci być tylko objektywnym sprawozdawcą. Nie wychodź z roli korespondencie, bo wyłamiesz na pierwszej lepszej przeszkodzie.

A zatem do rzeczy.

Koniec września. Mimo wczesnej jesieni, dzień piękny. Ziemia jeszcze pożniwnem macierzyństwem zdobna i jakiejś tęskliwości pełna. Szlachecki dwór w Bugaju (rezydencja „Koła Sandomierskiego“) „rozszerzył się“, według wyrażenia Pola—bo zjazd olbrzymi. Ekwipaż za ekwipażem... palenie z bicza... parskanie czwórek... Jest tego z dziesięć mendli z okładem!

Polak ma tę wyższość nad Francuzem i Anglikiem, że kiedy pierwszy najpierw dojrzy amazonkę, a później rumaka, drugi najpierw konia, a potem amazonkę, my widzimy wszystko na raz!

Wszystko, choćby było tego tyle, co na Bugajskim torze.

„Oto naprzykład kasztanów czwórka,
Ekwipaż piękny, piękniejsza córka!“

Albo:

„Dobrana para jukerów,
Wózek krakowski... Dwóch kawalerów...
Obydwie pary, ta i ta dziarska,
Jedna się śmieje, a druga parska!“

Ale nie sposób wymienić wszystkich, a co trudniej jeszcze określić, czy brudne kasztany piękniejsze od siwków w faetonie, a już niepodobieństwo zadecydować stanowczo, która z pań?..



Zaprzęg pp. Aleksandrowstwa Olszowskich (fot. Sarjusz Wolski).

Powiesz: p. M... a tu ci się mignie, jak sarenka, p. K.! Patrzysz dalej, a tu pp.: Ł. B. W.!

Nie sposób!

Przeto:

„Nie chcąc urazić nikogo w świecie,
Rozhukanego Pegaza pętam,
No... i wymieniam po alfabecie
Wszystkich! o ile kogo pamiętam...“

Pp.: Stanisław i Leon Baczyńscy, Mieczysław Cichowski z synem, Frochlichowie, Herniczkowie, Janasz, Bolesławowa Kotkowska, Stanisławowa Kot-





P. Bronikowski przed biegiem myśliwskim. (Fot. Sarjusz Wolski). P. Czesław Baczyński na wsiadanem.

kowska z córkami, Sewerynowstwo Kotkowscy, Franciszkowstwo Kotkowscy, p-na Koelichenówna, Zygmuntowstwo Leszczyńscy, Lessel, Lewandowscy, Aleksandrowstwo ks. Lubeccy z synem, Antoniowstwo Łempiccy, p-ny Moraczewskie, Kazimierzowstwo Mrozińscy, Witoldowa Mrozińska z córką, Aleksandrowstwo Olszowscy, Gustawowstwo Ośniałowscy, Michałowstwo Rudzcy, Ryttlowie, Kazimierzowstwo Świeżyńscy, Juljanowstwo Targowscy, Józefowstwo Targowscy, Kazimierz Załęski, p-na Zarzycka, Antoni Zarzycki.

„Teraz notatnik biorę z kieszeni
By zanotować, jacy sportsmeni...“

A więc pp.: Czesław Baczyński, Bielecki, Bławdziewicz, Bronikowscy, Gosiewski, Grabowski, Jasieńscy, Kindler, Wacław hr. Komorowski, Michał hr. Komorowski, Lewandowski, Linowski, Gustaw Łempicki, Sergjusz Niemojewski, Janusz Olszowski, Peretjatkowicz, Piotrowski, Rohland, Ryttel, ks. Sapieha, hr. Wielopolski, Stanisław Wotowski, Stanisław Załęski.

Ale wszędzie muszą być primi inter pares...

Tutaj godność ta przypada przedewszystkiem prezesostwu Ośniałowskim, za których sprawą wszystko tu się dzieje, poczynając od gościnności, a kończąc na torze, na którym najlepszy przykład tężyzny daje sama pani prezesowa, bodaj, że jedna z najdzielniejszych naszych amazonek!

Wtóruje zabiegom prezesostwa pierwszy prezes „Koła Sandomierskiego“, p. Czesław Baczyński, na swej niezrównanej „Chmurze“... Ale o tem później, zwłaszcza, że należy się z Czytelnikiem podzielić rezultatami gonitw, nad wyraz zajmujących, później wnioski.

Więc dzień pierwszy.

Nagroda Śmiłowa, składająca się z dwóch przedmiotów wartościowych, ofiarowanych przez p. C. Baczyńskiego, bieg za mastrem około 12 w. — z Bugaju do Śmiłowa i z powrotem. Współzawodniczyło pięć koni. Pierwszym stanął p. Giżycki na „Chaer“ hr. W. Komorowskiego, drugi o pół długości p. I. Bronikowski na „Galopinie“, a za nim doszły: „Kozaczka“ (L. ks. Sapieha), „Gouverneur“ (S. Rohland), „Cześć“ (S. Kindler), — „Zenith“ (W. Bronikowski) nie dokończył dystansu.

Nagroda p. L. Gosiewskiego 60 rb. i żeton od S. K. S. — wyścig z płotami 2 w. — konie doszły do mety w następującym porządku: 1) „Farys“ p. A. Łempicki), 2) „Zibeline“ (L. ks. Sapieha), 3) „Ajaks“ (p. M. Piotrowski) — „Nie chcę“ (A. hr. Wielopolski) nie kończył wyścigu. Nagroda „Radomska“ od Tow. R. W. K. 150 rb. i żeton od S. K. S.—steeple-chase około 3 w. dla koni wszelkiego pochodzenia, które w 1911 i 1912 r. nie były pierwszemi na torach oficjalnych, oprócz Pułtuska, Bugaju i biegów myśliwskich. 1) „Paliwoda“ (p. S. Rohland), 2) „Kipi-Kasza“ (p. I. Olszewski), 3) „Płotka“ (p. Peretjatkowicza), — a „Poker“ nie kończył wyścigu.

Nagroda p. S. Kindler'a 100 rb. i żeton od S. K. S. „Cross Country steeple-chase“. 1) znana „Tombola“



Steeple!



Grupa gości, przyglądających się gonitwom z przeszkodami.

(p. I. Bronikowski), 2) „Venus“ (p. G. Ośniałowski), 3) „Jedlonka“ (p. A. Łempicki), 4) „Icek“ (p. Peretjatkowicz). Nagroda p. S. Niemojewskiego 200 rb. i żetony dla trzech pierwszych jeźdźców — wyścig płaski na 6 wiorst. 1) „Flondryn“ (p. G. Ośniałowski) po „Virad“ i „Palmoodie III“, 2) „Kinda“ pełnej krwi (p. Grabowski), 3) „Espana“ (p. J. Bronikowski), 4) „Imbir“ (p. S. Kindler), dopełniały pola „Gorda“ (A. hr. Wielopolski), „Daisy“ (p. I. Olszowski), „Bajaderka“ (p. C. Baczyński) — „Ida“ (p. H. Bławdziewicz) nie kończyła wyścigu.



Na przeszkodzie.

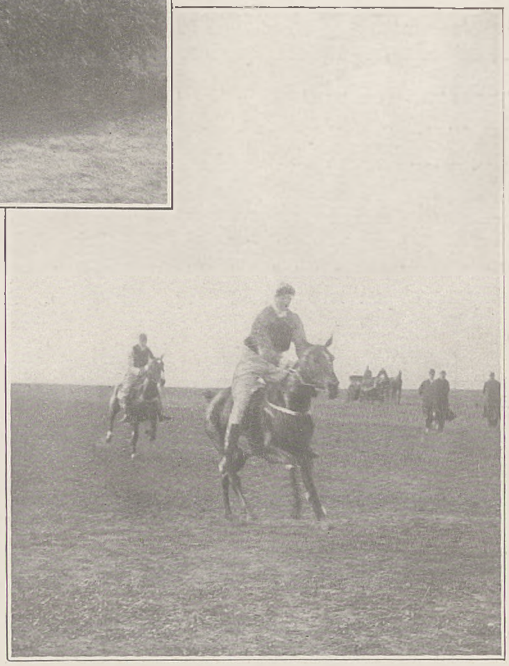
Wszyscy jeźdźcy, biorący udział w wyścigu, wykazali wielką sprawność w prowadzeniu konia, ale że jednego los „wyróżnił niebezpieczeństwem“, więc jemu pierwszeństwo tego dnia przypada.

Mianowicie, dosiadający w steeplu „Paliwody“ p. Rohland przewrócił się wraz z koniem, mimo to jednak, dosiadłszy powtórnie bieguna, wyścig... wygrał! Drugi dzień, nieco atmosferycznie cieplejszy, zakończył się tryumfem p. G. Ośniałowskiej, która z niezwykłą brawurą, a zarazem rozwagą, prowadząc swego „Fortela“, wspaniałem finishem pokonała resztę licznego pola.

Czyż mam o brawach wspominać? Rozległy się z tej i „z tamtej strony Sandomierza“.

Szczegółowy przebieg tego dnia był następujący:

Wyścig płaski 1½ wiorsty o nagrodę p. K. Zarzyckiego, 1) „Kuta“ (p. Peretjatkiewicz) klacz półkrwi arabskiej p. Czesława Baczyńskiego i „Bajaderka“ tegoż (pod właścicielem) łeb w łeb, 2) „Daisy“ (p. I. Olszow-



Finishe! (Fot. Sarjusza Wolskiego).

ski). W wyścigu steeple-chase o nagrodę pp. A. i I. Bronikowskich, dystans 2½ w., pierwszeństwo przypadło „Jedlonce“ (p. Łempicki), drugie miejsce „o tycie, o palec“ zajął „A to co“ (p. M. Piotrowski), trzecie „Icek“ p. Peretjatkowicza pod właścicielem.

Nagroda S. K. S. 50 rb., żeton dla jeźdźca zwycięzcy, wyścig płaski, jedno okrążenie szranek. Zaznaczam tylko dwa pierwsze konie: „Mahomet“ (p. S. Lipiński) i „Kajmakan“ (p. Gosiewski).

Nagr. S. K. S. 100 rb. i żeton dla jeźdźca zwycięzcy — 2 w. — 1) „Iskra“ (p. I. Bronikowski) po og. „Brachvogel“ i „Szreniawa“, 2) „Budrys“ (p. G. Ośniałowski) po „Batorym“ i „Stellinie“ 3) „Vici“ (p. Rytel) po „Buisson Ardent“.

Dzień zakończony został biegiem myśliwskim za mastrem, na przestrzeni około 6 wiorst. W zapasach wzięło udział siedmiu zapaśników, a między niemi p. Ośniałowski.

Bieg poprowadził dzielnie prezes Ośniałowski, jako master, w dużem tempie. Na finishu, gdy master już dał znak, że jeźdźcy mogą wypuścić swe konie, wysunęła się wnet trójka naprzód, składająca się z „Plotki“ (p. Peretjetkowicz), „Fortela“, „Idy“ (p. Bławdziewicz), a najbliżej trójki cwałował „Mumm“ (p. Lewandowski). Na ostatnim zakręcie zdawało się na chwilę, że „Plotka“ bieg wygra, pani Ośniałowska zachowała jednak zimną krew, swego konia zaoszczędziła, nawet gdy ją następnie zaczęła wyprzedzać „Ida“, i dopiero już niedaleko od mety wypuściła „Fortela“, który wygrał efektownym finishem, Drugi stanął p. Bławdziewicz, trzeci „Mumm“, czwarta „Plotka“. Tu zostawiam cały rząd kropek na owację . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . wyrażając jedynie żal, że mi zwyciężczyni nie udało się schwytać na migawkę aparatu!

To jedyna pretensja, jaką mogę żywić do Szanownej prezesowej. Ale mam nadzieję, że mimo wszystko niebawem na łamach „Wsi i Dworu“ znajdzie się portret najdzielniejszej z dzielnych. Już i ja także swego „fortelu“ użyję.

Ale nie na tem koniec.

Trzeciego b. m. odbył się jeszcze bieg dystansowy za mastrem, którym był p. Czesław Baczyński. W biegu przyjęli udział: p. S. Niemojewski na „Kapralu“, p. B. Peretjatkowicz na „Icku“, ks. L. Sapieha na „Kozaczce“, p. Rohland na „Gouverneurze“, p. Kindler na „Cześci“, p. Lipiński na „Sułtanie“ p. Bieliński na ogierze kozackim, p. A. Bronikowski na „Espana“, p. W. Bronikowski na „Zenith“.

Wyjazd z Bugaju i master poprowadził przez Buczek, Winiary, to jest dużym malowniczym łukiem powiśla do Słupczy, majątku państwa Antoniowstwa Łempickich, do których zajechano i zabawiono z 15 minut. Ze Słupczy master ciągnął dalej przez Czernin, Garbów, Jaroszówkę do Bugaju. Pan C. Baczyński prowadził tak szybkiem tempem, że oprócz p. Sergjusza Niemojewskiego zgubił wszystkich po drodze. Pan S. Niemojewski na „Kapralu“ przebył dystans około 35 w. w 1 g. 40 m. — w 15 m. po nim nadjechał p. Peretjatkowicz na „Icku“ — a dopiero w jakie 25 m. reszta jeźdźców.

W biegu tym jednemu z naszych jeźdźców p. W. Bronikowskiemu zdarzył się przykry wypadek, mianowicie dosiadany przezeń „Zenith“ złamał nogę i musiał być zastrzelony.

Dodam jeszcze, że p. Niemojewski wprost z kolei dosiadł swego „Kaprala“, robiąc wskutek tego nad dystans kilkanaście wiorst więcej na dzielnym biegunie.

Oto wrażenia sportowe.

Należałoby jeszcze wspomnieć o tych wieczornych zabawach ożywionych, o przyjęciu serdecznem, o gościnności staropolskiej! Przypomniały mi się Pławieńskie czasy! Nawet w „starym piecu djabeł zaczynał palić“ gdy ucięto mazura od ucha! Cóż? Rozglądając w tym bukiecie krasy i urody mogłem jeno nucić: „Gdybym był młodszy dziewczyno!“ i... wzdychać.


P-na Koelichenówna i p. Janusz Olszowski.

Hej! hej! „Gdybym był młodszy“—to kto wie! Może porwałbym tatarskim obyczajem, jaką K., M. lub Ł., dosiadł „Chmury“ p. Czesława Baczyńskiego i już bez mastra, pomknął szlakiem na Włostów, aby i kieskę czem zasilić — no i... niechby mię kto sprobował dogonić.

Chyba prezesowa na „Fortelu“ albo p. Sergjusz Niemojewski na „Kapralu“! „Gdybym był młodszy“!

To mię jedynie pociesza, że niejeden młody w tym rapcie mię wyręczy.

Pewnikiem!

Mimo czapki „niewidki“, wiem coś o tem! Widziałem.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.



Z jesiennych wczasów.





Grzybobranie.

# W jesienną noc.

Wabiłem jarząbki, włócząc się w posępny dzień dżdżystego października wśród poczerniałej, oślizgłej kolumnady lasu. Pod wieczór, zmęczony całodzienną wędrówką, kociem przekradaniem się przez zarośla, usiadłem na jakiejś rozpadającej się ze starości kłodzie i myślałem o kilku wiorstach drogi, dzielących mnie od domu.

Malutki, szary pełzacz, milcząc, czołgał się po chopowatej, upstrzonej liszajami, korze koszlawego grabu i ciche płynęły rozhowory odlatujących gęsi gdzieś z daleka, z mgły. Przymknąłem oczy, — i zdało mi się, że stoję nad szerokim wiosennym rozlewem, w mglistej dali sinieją smugi lasów i czajka, pławiąc się nad rodzinnem błotem, łka z nadmiaru radości...

Pierzchło złudzenie, gdy z gęsto zwartej kępy świerków i nawpół obnażonych olch padł przeciągły, zakończony tęsknym trelem świst jarząbka, — śpiew, którym w jesienne zmroki przywołuje małżonkę opuszczony kogut. Spróbowałem wabić, naśladując głos samiczki, ale napróżno: ptak odpowiadał z daleka, wreszcie zamilkł. Wtedy, trzymając broń gotową do strzału, ruszyłem ku niemu, myśląc, że uda mi się go podejść, nadzieja ta jednak zawiodła, gdy głuchy grzmot skrzydeł rozległ się w gęstwinie. W ciszy wieczornej słyszałem, jak opadł na ziemię, rozwiewając skrzydłami zwiędłe liście, jak pobiegł potem, szeleszcząc lekko, drobnymi kroczkami i, zatrzymawszy się w bezpiecznem miejscu, znów zawabił. Zniecierpliwiony, rzuciłem się za nim w pogoń, nie tyle wzrokiem, ile słuchem badając kierunek, obrany przez zbiega. Czasem widziałem, jak szarym kłębuszkiem przemykał się wśród leśnych zwalisk, to znów, gdym się zaczynał zbliżać na odległość strzału, zrywał się i grzmiącym lotem nikł w gęstwinie.

I tak wiódł mnie w głąb lasu, w niewiadome knieje, aż wreszcie znikł gdzieś, stopił się z szarem tłem dzikiego pustkowia, gdzie w gęstniejącym zmierzchu jeżyły się pordzewiałe turzyce i nad mętnem, zapadłem jeziorkiem stało kilka smutnych brzózek w zielonych wieńcach jemioły.

Tu się spostrzegłem, że noc zapada...

Lubię noclegi w lesie, gdy w cieple ogniska noc szybko schodzi na miłej gawędzie z towarzyszami łowów; rad słucham wówczas opowiadań starych, obrosłych i jakby zapleśniałych w puszczy leśników, gdy pod wpływem znajomego środowiska pozbędą się na chwilę wrodzonej małomówności, roztaczając przed słuchaczami całe bogactwo prastarych, zapomnianych słów i zwrotów; chętnie też spędzam samotnie noce pod gołem niebem, — dziś po raz pierwszy obco się poczułem w lesie i długo zasnąć nie mogłem, słuchając trzaskania ognia i dalekich nawoływań pójdźki...

Północ musiała dawno minąć, gdy, zbudzony chłodnem dotknięciem martwego liścia, utonąłem pełnym jeszcze sennych widziadeł wzrokiem w niezgłębionej ciemni pochmurnej jesiennej nocy. Tuż koło mnie słabo żarzyły się głownie przygasłego ogniska, krwawy odblask rzucając na ciemno-zielony aksamit mchów, na pióropusze pobladłych paproci i siwe brody porostów. Jakieś stłumione szepty słychać było w górnych piętrach lasu, jak gdyby smutna wieść, żałobna przepowiednia zimy krążyła od drzewa do drzewa. Z cichym, szklanym szelestem zrywał się liściem z pod stropu olbrzymiego klonu, chwiał się, jak ranny ptak na rozpostartych skrzydłach, i w blasku czerwonych węgli do różowo-złotego ptaka podobny, opadał na ziemię. A ziemia naokoło dyszała jesiennymi wyziewami, szła od niej ostra woń butwiejących liści, płynął zapach owego grzyba-samotnika, co wyrasta wśród chłodu i mroku naszych czarnych lasów, zwabiając ku sobie roje zielono-błyszczących much. Klonowy liść zaglądał mi w oczy długim korzonkiem, — i sił mi brakło strącić z siebie natręta, taki bazwład

ogarnął mnie całego. Myśl pracowała leniwo i sennie i serce ściskał tajemniczy lęk na wspomnienie widzianego wczoraj w ostatnich połyskach gasnącego dnia martwego oka-jeziorka, samotnie z pośród traw patrzącego w niebo.

Słuch, łaknąc żywego dźwięku, chciwie łowił słabe szelesty liści, ledwo uchwytne piski leśnych stworzonek, żerujących gdzieś pod ziemią, wśród korzeni drzew, — szmery raczej przeczute, niż usłyszane. I kiedy daleko w lesie trzasła sucha gałęź, raźniej zrobiło się na duszy; przypomniały się chwile, spędzane w zbożu na czatach, gdy przy pierwszych, dalekich odgłosach nadchodzących dzików tchu braknie w piersiach i serce tłucze się, jak postrzelony ptak...



(Z teki p. W. Głębockiej).

Trzasło znów gdzieś bliżej, zaszeleściały liście i coś zwolna ciężkim krokiem zbliżać się zaczęło ku mnie, łamiąc chrust, aż stanęło nieruchome, milczące za najbliższą kępą leszczyny, za potężnym krzem, słabo majaczącym w blasku węgli.

Czyżby leśnik łaził po lesie o tej późnej porze? Czy może zwierz jaki przygląda mi się z ukrycia, oślepiony blaskiem ognia, i zadudni niebawem ziemia łoskotem jego ucieczki?..

Słaby okrzyk, który rzuciłem w las, nie mogąc dłużej znieść ciszy, pozostał bez odpowiedzi, brzmiąc mi w uszach zdławionym krzykiem trwogi. Nic się nie poruszyło za krzakiem leszczyny, nie zadrgał żaden liść.

Mówiono mi niegdyś, że łoś, gdy znienacka spotka się z człowiekiem i sądzi, że go nie dostrzeżono, odchodzi tak cicho, że nie zaszeleści nawet sucha trawka, nie trzaśnie nigdzie przydeptana gałązka. Może więc łoś stał przy mnie i odszedł bez szmeru?

Wyobraźnia jednak rysowała już przyczajoną tam za krzakami nieznaną leśną istotę o niewyraźnych, szarych, poplątanych kształtach, i czułem wpatrzone w siebie po przez mrok uparte oczy puhacza.

Krzyk, którym po raz wtóry chciałem dodać sobie otuchy, zamarł mi w gardle. Wtedy ostatnim wysiłkiem woli zerwałem się z ziemi, nagarnąłem na zgliszcza przygotowany z wieczora stos chrustu i, gdy buchnęły płomienie, z żarzącą się głownią w ręku i strzelbą, gotową do strzału, przeszukałem poblizkie zarośla: pusto było wśród nagich szkieletów leszczyny, milczał las...

Z czarnej otchłani jesiennego nieba ślepowron rzucił tajemne swe hasło, i ostry krzyk jego, zdawało się, nie naruszył ciszy, jak nie mąci powierzchni wody kamień, rzucony w głębinę.

I pociągnęły się długie i martwe godziny, posępne chwile samotnych rozmyślań.

Powtórnie przygasać zaczęło ognisko, kiedy w pobliżu odezwał się kos, — i echo daleko po lesie rozniosło zapowiedź dnia. Już po wilgotnej, liściem zasłanej ziemi, po śliskich pniach drzew pełzały mętne, niezdrowe blaski mglistego poranku.

Nad jeziorkiem wzbił się gęsty opar i siwemi pasmami oplątał gromadki smukłych, jemiołą wieńczonych brzózek, a duże krople rosy, jak łzy, zwisały z ich długich warkoczy.

Tam, kędy w nocy przechodził dziwny przybysz, teraz purpurowym skrzepem zastygłej krwi czerwienił się zwał opadłych liści i, rozdygotana resztkami listowia, trzęsła się nad nim samotna osika.

Leśne głębiny, sklepione wnętrza świerkowych gęstwin były jeszcze mroczne i ciemną plamą majaczył wśród zarośli okrągły wylot jakiejś wgłąb idącej, niewiadomej ścieży.

Błądziła tamtędy jesienna tęsknota, nieuchwytny, blady cień, to czając się wśród zwiędłych paproci, to niknąc po za pniami drzew.

Ona to w jesienną porę snuje się po lesie, budząc smętną śpiewką jarząbka zapomniane echa, szarą cyranką unosząc się ponad śpiącym w łozach strumieniem.

Dziś w nocy podeszła blizko do mego ogniska, a teraz przyzywa ku sobie i ciągnie w las.

Próżnobym się osłaniał i bronił, próżno szukał ścieżek tajnych, zbawczych w ucieczce wśród gęstwiny leśnej: pójdzie za mną w trop, dopędzi i powiedzie za sobą w niezbadaną mglistą dal, świat przesłaniając szarą przędzą mgły nieprzeniknionej.

J. WOYNIŁOWICZ.



Sfora foksterierów (fot. am. p. A. Ronczewskiego).

# LICYTACJE KONI.

## Ze stada Widzów.

Sprzedane zostały następujące konie:

*a) Matki.*

1) „Aigrette“ (ur. 1897), stanowiona og. „Fils du Vent“, p. Biełogorskiemu za 620 rb. — 2) „Era“ (ur. 1901), stanowiona og. „Sac à papier“, p. M. Bersonowi za 2800 rb. — 3) „Esterka“ (ur. 1901), stanowiona og. „Fils du Vent“, p. Bulińskiemu za 500 rb. — 4) „Feronia“ (ur. 1902), stanowiona og. „Fluor“, p. Wydżdze za 1500 rb. — 5) „Fleur de Luce“ (ur. 1892), stanowiona og. „Fils du Vent“, p. Anisimowowi za 600 rb. — 6) „Impatient“ (ur. 1898), stanowiona og. „Sac à papier“, p. Bersonowi za 2500 rb. — 7) „Jodyna“ (ur. 1906), stanowiona og. „Fils du Vent“, p. Bulińskiemu za 920 rb. — 8) „Łyska“ (ur. 1909), stanowiona og. „Fluor“, p. Ułaszynowi za 800 rb. — 9) „Patten“ (ur. 1896), stanowiona og. „Brzask“, p. Podczaskiemu za 1330 rb. — 10) „Tarcza“ (ur. 1896), stanowiona og. „Sac à papier“, p. Bulińskiemu za 470 rb. — 11) „Weiter“ (ur. 1893), stanowiona og. „Fluor“, p. Hryckiewiczowi za 770 rb.

*b) Roczniaki pełnej krwi.*

1) „Nirwana“, kl. gn., p. Glince za 1175 rb. — 2) „Nagroda“, kl. gn., p. N. A. Popowojowi za 2880 rb. — 3) „Nowina“, kl. gn., p. Biełogorskiemu za 540 rb. — 4) „Nur“, og. gn., p. Mantaszewowi za 4575 rb. — 5) „Nachalna“, kl. gn., p. Mantaszewowi za 2175 rb.—6) „Natręt“, og kaszt., p. Hryckiewiczowi za 1775 rb.—7) „Namiętna“, kl. gn., p. Tabęckiemu za 1100 rb.—8) N. N., kl. kaszt., p. N. A. Popowojowi za 5258 rb. 9) „Naprzód“, og. c. gn., p. Mantaszewowi za 6283 rb. — 10) „Numer“, og. kaszt., p. Mantaszewowi za 6091 rb. — 11) „Roli-Poli“, p. Papałazarowi za 2450 rb.

*c) Roczniaki pół-krwi.*

1) „Nuna“, kl. gn., p. Popowojowi za 3740 rb.—2) „Nahajka“, kl. gn., p. Biełogórskiemu za 1310 rb.—3) „Nagły“, og. kaszt., p. Grudzińskiemu za 510 rb.—4) „Nawój“, og. gn., p. A. Kosińskiemu za 400 rb.

*d) Ogiery.*

1) „Karat“, og. kary, ur. 1907 r., p. Biełogorskiemu za 400 rb.—2) „Latarnik“, og. gn., ur. 1908 r., p. Hryckiewiczowi za 900 rb.

## Ze stada hr. Pahlena i K. von Seidlitza.

Sprzedane zostały:

*a) Konie starsze.*

„Kasztelan“, p. Biełogorskiemu za 1700 rb.; „Estragon“, p. Biełogorskiemu za 2400 rb.; „Hans Tutelberg“, ks. Awałowowi za 1420 rb.; „Highflemming“, por. Reutowi za 830 rb.; „Tirage“, p. Jaworskiemu za 1600 rb.

*b) Dwulatki.*

„St. Elms“, p. Łazarewowi za 3500 rb.; „Potok“, p. Glince za 2600 rb.; „Jegomość“, p. Biełogorskiemu za 1450 rb.; „Neptun“, wycofany w szacunku 10,000 rb.; „Hiderose“, p. Bychowcowi za 500 rb.; „Turuchtan“, p. Bulińskiemu za 510 rb.; „Paulina“, p. Glince za 600 rb.; „Arak“, p. L. Mantaszewowi za 3000 rb.; „Jasny Pan“, p. A. Wysockiemu za 500 rb.; „Kamarilla“, p. Biełogorskiemu za 2000 rb.; „Czajka“, hr. Pahlenowi za 1000 rb.; „Durga“, p. Biełogorskiemu za 3400 rb.; „Pas de Chance“, puł. Karatiejewowi za 750 rb.; „Magnat“, wycofany w szacunku 10,000 rb.; „Neptun“, wycofany w szacunku 8000 rb.

Ceny wycofania były rezerwowe.

## Ze stada w Janowie.

Doroczna licytacja w Janowie miała mniej, niż zwykle powodzenia, mniej kupców na nią przyjechało, pomimo tego dosyć koni zostało sprzedanych i rezultat był następujący.

Konie Janowskiego stada: 1. 2-l. og. peł. kr. „Priwiet“ sprzedany p. M. Sokołowowi za 263 rb. 2. „Walkirja“ klacz stadna $^3/_4$ kr. — p. A. Michalskiemu za 140 rb. 3. „Bravissima“ kl. st. $^3/_4$ kr. — p. I. Żyliczowi za 171 rb. 4. „Count“ og. 2-l. $^3/_4$ kr. — p. K. Romanowskiemu za 354 rb. 5. „Flageolet“ og. jednoroczny $^3/_4$ kr. — p. A. Baranowowi za 95 rb. 6. „Konwent“ og. z depot peł. kr. — p. Krzywickiemu za 25 rb. 7. „Don Jouan“ stary ogier $^3/_4$ kr. z depot — p. Tatarowowi za 29 rb. 8. „Wild Rower“ ogier z depot $^3/_4$ kr. — hr. Zyberg-Platerowi za 170 rb. 9. „Jaczmień“ og. z depot $^3/_4$ kr. — ks. Leonowiczowi za 79 rb.

Konie prywatnych właścicieli: M. Wołoszynow sprzedał kl. „Brest“ p. A. Baranowowi za 205 rb.

p. M. Szeliski — 2-l. kl. $^3/_4$ kr. „Góralkę“ oficerowi do Mławy za 205 rb. Temuż kl. 2-l $^3/_4$ kr. „Buławę“ za 300 rb. Temuż 2-l. kl. $^3/_4$ kr. „Gwineę“ za 350 rb. „Gavrocha“ 2-l. og. $^3/_4$ kr. p. Romanowskiemu za 400 rb.

p. R. Jaczynowski — kl. pełnej krwi „Kwintę“ ur. w 1911 r. pp. Białobłockim za 800 rb. 3-l. $^3/_4$ kr. „Sudan'a“ oficerowi wołyńskiego pułku za 450 rb. og. pół krwi 3-l. „Avanti“ p. D. Rajewiczowi za 400 rb. 3-l. kl. $^7/_8$ kr. „Błyskotkę“ bar. Budbergowi za 500 rb.

Spadkobiercy F. Wawrowskiego: „Franek“ wałach 3-l. pół-krwi — oficerowi wołvńskiego pułku za 450 rb. kl. 3-l. pół-krwi „Uczona“ oficerowi wołyńskiego pułku za 450 rb.

Hr. Jakób Potocki og. 2-l. pół krwi „Lampart“ ks. A. Czawczawadze za 250 rb. kl. 3-l. pół krwi „Armida“ oficerowi wołyńskiego pułku za 350 rb.

p. A. Bychowiec kl. stadną pełnej krwi „Lucię“ p. I. Rottowi za 250 rb.

p. I. Rott kl. pełnej krwi stadną „Infante“ p. Daszkowskiemu za 205 rb.

p. F. Wężyk og. jednorocznego pełnej krwi „Golf'a“ pp. Białobłockim za 1000 rb.

---

# Z polowań.

W Suwałkach, gub. kaliskiej, u p. Antoniego Niedziałkowskiego odbyło się polowanie z naganką. W 6 strzelb, mimo niepogody, zabito 285 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie miał p. Aleksander Rossman (87), drugim był dr. Antoni Rostkowski z Warszawy (64).

W majątku Januszewice p. Bronisława Łąckiego zabił artysta malarz, p. Wacław Przybylski na polowaniu odyńca wagi 384 funtów.

W dobrach Wilanowskich, Ksawerego hr. Branickiego, odbyło się 7-dniowe polowanie na kuropatwy z naganką, z udziałem 7 do 9 myśliwych. Opolowano folwarki Służew i Służewiec, Wolica, Paliuch i pola wilanowskie. Ogółem padło 1,103 kuropatw, 60 zajęcy, 11 bażantów, 1 jastrząb, 2 turkawki i 1 rogacz, razem sztuk 1,178. Najwięcej na rozkładach, 238 sztuk, miał gospodarz.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. w Wiedniu. Na dwór arcyksiążęcy w Żywcu wysłane.

P. Wandzie St. Za życzenia serdecznie dziękujemy. Sielec ks. Czartoryskich będzie w następnym numerze.

Hr. M. Ch. Oczekujemy spełnienia łaskawej obietnicy. Rozmiar fotografji nie stanowi przeszkody.

Ks. P. w Rzymie. Wysłaliśmy bezzwłocznie.

Hr. Moszyńskiemu w Sójkach. Odpowiedzieliśmy listownie. Za słowa zachęty dziękujemy.

Wołyniance. Będzie. O grupę towarzyską prosimy.

Trzem Zosiom. Za list serdeczny: Bóg zapłać. Oczekujemy obiecanej przesyłki. Widoki z Pobereża i sceny myśliwskie b. pożądane. Wystarczy „B. Herse" w Warszawie.

Hr. M. we Lwowie. Z łaskawie udzielonych nam adresów skorzystamy.

P. Tadeuszowi Pniewskiemu w Krakowie. Oczekujemy listu. Lepiej.

Mieszczaninowi. Za nadesłane zdjęcia dziękujemy. Zużytkujemy niebawem. Czy będzie nadal wychodzić? nie wiemy.

## TREŚĆ ZESZYTU II-go:



OKOŁO STU ILUSTRACYJ.

SPROSTOWANIE. Na str. 7 pod rysunkiem, zamiast p. B. Czarnickiego winno być p. B. Czarnieckiego.

# OD WYDAWNICTWA.

**„WIEŚ i DWÓR"** z dodatkami **„Sport" i „Hodowla"** wychodzi stale **dwa** razy miesięcznie w początkach i połowie każdego miesiąca przy współudziale licznego grona ziemian i współpracownictwie piór pierwszorzędnych. Każdy zeszyt „Wsi i Dworu" zawiera parę tysięcy wierszy druku i około **100** ilustracyj i odbitek na papierze kredowanym.

Tak więc Czytelnicy w ciągu roku otrzymają **24** zeszyty wykwintnego wydania, w których, oprócz tekstu, znajdzie się około 2000 ilustracyj z wszystkich dzielnic i ze wszystkich dziedzin wsi naszej.

Specyalne dodatki „Sport" i „Hodowla" dadzą w słowie i ilustracyi obraz całokształtu hodowli krajowej i rozwoju życia sportowego.

## Warunki prenumeraty „WIEŚ i DWÓR"

łącznie z dodatkami „Sport" i „Hodowla":

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| w Warszawie: | rocznie | rb. 10 kop. — | z przesyłką | rocznie | rb. 12 kop. — |
| | półrocznie | „ 5 „ — | pocztową: | półrocznie | „ 6 „ — |
| | kwartalnie | „ 2 „ 50 | | kwartalnie | „ 3 „ — |

| | | |
|---|---|---|
| zagranicą: | rocznie | rb. 14 |
| | półrocznie | „ 7 |

Cena pojedynczego zeszytu 50 kop., z przesyłką 75 kop.

Prenumeratę na **„Wieś i Dwór"** przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie i biura w kraju i zagranicą i administracja **„Wsi i Dworu", Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.**

## CENY OGŁOSZEŃ:

| **Przed tekstem:** | | **Po tekście:** | |
|---|---|---|---|
| 1 strona | rb. 120 | 1 strona | rb. 100 |
| 1/2 strony | „ 65 | 1/2 strony | „ 55 |
| 1/4 „ | „ 35 | 1/4 „ | „ 30 |
| 1/8 „ | „ 20 | 1/8 „ | „ 16 |
| 1/16 „ | „ 10 | 1/16 „ | „ 8 |

Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specyalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencyę zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować: **Administracya „WIEŚ i DWÓR" ul. Marszałkowska 129** (sto dwadzieścia dziewięć) **w Warszawie.** Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.


Redaktor: **Kazimierz Laskowski** Wydawca: **Bolesław Schoen**

Klisze i druk Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka Warszawa, Mariensztadt 16.